Nr. 16. Poznań, dnia 21 Kwietnia 1907 r. Rok XI.

Abonament
wynosi kwartalnie:
na poczcie. . . 1,50
z odnoszeniem
do domu . . 1,62
pod opaską . . 2,75

PRACA

Adres Redakcyi:
Poznań,
ul. Rycerska Nr. 35.
Telefon Nr. 1465.
Ogłoszenia:
od wiersza drobnego
30 fen.

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Swój do swego.

Hasło nie od dzisiaj, ni wczoraj, a mimo to wciąż na czasie zważywszy, że tysiące między nami grzeszą przeciw niemu.

Na razie zdawaćby się mogło dziwnem i niezrozumialem, że mimo codziennych nawoływań prasy społeczeństwo nasze wręcz obojętne wobec powyższego hasla zajmuje stanowisko.

Zdaje nam się jednakowoż, że o ile badać będziemy przyczyny tej lekkomyślnej opieszałości, to dojdziemy niestety do wniosku, że leży ona w naturze i rozwoju naszego społeczeństwa.

Kupiectwa i przemysłu naszego długie lata wogóle nie było. Monopol wszystkiego dzierżyła solidarna jedność przeważnie żydowska. Ona nam dostarczała od najdrobniejszej, a najlichszej rzeczy do najwykwintniejszej, a najdroższej. Jeżeli sobie dalej przypomnimy ubiegłe czasy, gdzie faktycznie kupującym był prawie jedynie obywatel-ziemianin, jeżeli uprzytomnimy sobie rolę, jaką w życiu jego grał żydowski dostawca (a i dziś często gra jeszcze), to nie trudno będzie nam zrozumieć, że siłą rzeczy wyrodził się w naszem społeczeństwie rodzaj zapędu kupowania u obcych, szczególnie u żydów. Zapęd ten tem intenzywniejszy był, że każdy wiedział, że „za tani grosz dostarczy mu żydek najlepszy towar.“ Były to czasy, (niezbyt odległe dzisiejszym), w których pieniądz miał mniejszą dla nas wartość, a dobroduszność nasza polska i wiara w bezwzględną poczciwość kupca były prawie przysłowiowe.

Twarda szkoła życia zaczęła jednakowoż zmieniać nas powoli. Błędy dziadów i ojców odbijały się na synach i wnukach. Wrogi napór bił w nas coraz silniej, coraz bezwzględniej. Powoli poczęliśmy rozumieć, że ostoją naszej siły to broń i moc materyalna. Zaczęliśmy powoli liczyć się z pieniędzmi, a równocześnie wyrabiać w sobie zmysł praktyczności, który nas uczył patrzenia na rzeczywistość życia i jego odmiany żywemi oczy a nie przez szkła różowe.

Spostrzegliśmy wówczas, że naszym kosztem dorabiają się inni nam nietylko obci, lecz wręcz wrodzy. I wówczas poczęło się u nas powoli rodzić zrozumienie konieczności samoistnego bogacenia się na naszych potrzebach. Poczęliśmy rozumieć, że, jeżeli tandeciarz-żyd lub kupiec-Niemiec może być umiejętnym i obrotnym kupcem lub przemysłowcem, nie ma żadnych przeszkód — prócz dobrej, a energicznej woli, by i Polak nim został.

I zaczęło powstawać kupiectwo i przemysł polski. Jak każdy zaczątek był i ten słaby. Słaby z dwóch przyczyn. Raz stał on z początku na zbyt lekkich fundamentach finansowych, a powtóre, nie mając przeszłości, a więc praktyki, dzielił z początku błędy i grzechy swoich konkurentów żydów i Niemców. Towar był często drogi, a zwykle lichy. Tym systemem bowiem chcieli ci pierwsi przyjść do grosza. Eksperyment ten nie udał się, bo nie mógł. Słusznie bowiem rozumiała reszta społeczeństwa, że, jeżeli już Polak tworzy handel niech różni się od obcego nietylko ceną lecz przedewszystkiem towarem. Zmiana ta nie mogła być oczywiście nagła. Powolny rozrost handlu i przemysłu naszego, ugruntowanie silnych, a solidarnych podstaw finansowych były najważniejszemi warunkami, by one nie tylko żyć, lecz i rozwijać się mogły. Skoro te do pewnego stopnia się ustaliły, natenczas kupiec i przemysłowiec nasz mógł stać się europejskim i postępowym. Wówczas też mogliśmy żądać od niego, by był innym niż jego sąsiad-konkurent, a wróg.

I przyznać ku chlubie naszego kupiectwa i przemysłu trzeba, że, o ile przedstawiają poważne tendencye rozwoju, są uwarunkowane na zdrowych i postępowych zasadach. Najlepszym tego dowodem fakt, który nie da się zaprzeczyć, że sfery powyższe stają się z roku na rok mienniejsze i w środki nowe coraz więcej zasobne.

Pocieszający ten objaw mąci jednakże drugi fakt nader smutny. Tysiące naszych kupuje jeszcze bez żadnych widocznych przyczyn i powodów u obcych. Co prawda już poprzednio tłomaczyliśmy, na czem polegało, że dawniej zapęd ten u nas istniał. I dziś my go może *rozumiemy* jako zakorzeniony zabytek wad naszej przeszłości. Piszemy *rozumiemy*, lecz *nie tolerujemy* i *nie wybaczamy*. Społeczeństwo każde, a i nasze rozwija się i przystosowuje do nowych warunków. Otóż nasze, rozwijając się, nie dostatecznie dostosowało się jeszcze do zmienionych warunków i haseł. Te wyrobić w sobie musi siłą rzeczy i konieczności. Czas najwyższy, a najwyższy szczególnie u tych, którzy przodują społeczeństwu: u *inteligencyi*. Czyż wstyd nas nie ogarnia, jeżeli na publicznem zebraniu słyszymy głos t. zw. filaru społeczeństwa, polecającego mimo polskich, wyroby żydowskie i niemieckie, wstyd tem głębszy, że nikt nie zwrócił obywatelowi powyższemu uwagi na jego *nietakt* narodowy. Czyż nie zniechęca naszych kupców fakt inny, jeżeli dama polska wejdzie do składu, godzinami zamęcza i kupca i personał i wreszcie kupuje — parę rękawiczek, by za chwilę wejść do Niemca-hakatysty i za tysiące kupić wyprawę.

Są to przykłady z licznych innych

codziennej obserwacyi naszych kupców i przemysłowców.

Uniewinnienie słyszy się zwykle jedno. W polskim magazynie nie dostanę tego, co chcę i jak chcę, a, jeżeli dostanę, to drogo. W rzeczywistości rzecz wygląda inaczej. Faktem bowiem jest, że dzisiaj nasi poznańscy kupcy dostarczyć mogą wszystko natychmiast lub w czasie krótkim. Niedołęstwo nasze, wygoda i tradycyjny pęd do żyda (obcego) są jedynie głównemi przyczynami naszego popierania obcych. Oczywiście, że mając i mniej sumiennych kupców natrafimy i na zle objawy życia naszego przemysłowo-handlowego. Zmiana na lepsze w takim przypadku jedynie od nas zależy. Systematyczna bowiem kontrola przez ciągłe kupowanie u swego musi i mniej sumiennego kupca pobudzić do rzetelności i sumienności, bo uświadomi go prędko, że o ile nie poprawi się, społeczeństwo straci do niego zaufanie i pogrąży go w szarzyźnie, z której wyszedł.

Od nas samych, o ile popierać będziemy, zależy normalny rozwój naszego przemysłu i handlu.

Przyznać trzeba, że prasa nasza wypełnia sumiennie swój obowiązek nawoływania do popierania swego. Praca prasy będzie jednakże niedostateczna i połowiczna tak długo, aż jej czynności nie poprze społeczeństwo samo. Na wzór naszych pobratymców Czechów i my zobowiążmy się *w naszych organizacyach wszelkiego rodzaju t. j. w towarzystwach i to nietylko ludowych, że kupować będziemy u swoich wszystko, co dostać możemy. Niech w towarzystwach naszych każdy członek przyrzecze, że w domu swoim wymoże kupowanie u swoich.*

Zobaczymy wtenczas, że o ile zobowiązania te czynnie i energicznie wykonywać będziemy, handel i przemysł nasz żywotną rozkwitnie siłą. Przecież Czesi na tej jedynie drodze doszli do swego bogactwa. Nie tak dawne jeszcze lata, gdy całe Czechy, a szczególnie Praga roiły się od Niemców i żydów kupców i przemysłowców. Dzięki energicznej organizacyi hasła „swój do swego" zmieniły się warunki i dziś na palcach policzyć można przemysł i handel w ręku obcym. Dla czego Poznań i cały zabór nie ma iść za przykładem Czechów. Pokażemy najdobitniej na tej drodze, że wszelkie zakusy osłabienia nas na linii ekonomicznej nie ziszczą się.

Organizujmy się zatem w naszych towarzystwach pod hasłem „swój do swego". Niech dom każdy będzie ostoją naszej odporności ekonomicznej. Zobaczymy wówczas, że wszelkie sztuczne środki rządu zrobią fiasko, a my ostaniemy się — tworząc i *ekonomicznie polski* Poznań i *polski* zabór pruski.

Do dzieła zatem!

Polityka kieszeni.

Jeden z najpoważniejszych dzienników niemieckich „Frankfurter Zeitung" zamieściła ostatnimi czasy w rubryce „Tages-Rundschau" bardzo spokojną a zarazem bardzo stanowczą krytykę antipolskiej polityki Prus, a szczególnie planów ich na przyszłość co do wywłaszczania polskich właścicieli ziemskich. Artykuł ten, który zarazem odsłania uboczne motywy egoistyczne, jakie skłania pewne partye niemieckie do popierania rządu w jego prześladowaniu Polaków, opiewa jak następuje:

„Rząd pruski miał dotąd w izbie poselskiej dla swojej polityki antipolskiej stałą większość, złożoną z konserwatystów i narodowych liberałów. Ta większość popierała rząd ślepo i można śmiało powiedzieć, że księciu Bülowowi i jego kolegom na żadnem polu nie było tak łatwem zbieranie laurów parlamentarnych, jak w zakresie polityki

Naród Polski

pod obcem panowaniem.

47) Opowiedział

Julian Baczyński.

(Ciąg dalszy).

— Wezwijmy braci naszych z zaboru rosyjskiego i austryackiego do ogólnego zbrojnego powstania!

— Ogłośmy wraz ze zniesieniem pańszczyzny zupełne równouprawnienie włościan z innymi obywatelami!

— Naczelnikiem siły zbrojnej będzie Tadeusz Kościuszko, a kierownictwo działań politycznych i dyplomatycznych obejmie Adam ks. Czartoryski![1])

Tak nadszedł rok 1812, rok wojny i rok urodzaju, rok, w którym zapowiadały się powszechnie wielkie, nadzwyczajne wypadki. Bo oto na wiosnę tego roku wyruszyła olbrzymia z różnych narodowości złożona armia francuska ku Wiśle, a za nią przez Drezno, Poznań, Gdańsk do Królewca dążył sam Napoleon. Dnia 22 czerwca w Wilkowyszkach[2]) wypowiedział Rosyi wojnę i przekroczył jej granice.

Tymczasem do Warszawy, jakby do stolicy wielkiego mocarstwa zjechał i działał tam z ukrycia nadzwyczajny ambasador francuski ksiądz de Pradt, arcybiskup mechlińśki.

Jawna władza rządowa z polecenia króla spoczywała w rękach ministrów a głównie Tadeusza Matuszewicza. Sędziwy generał ziem podolskich, Adam ks. Czartoryski, najpoważniejszy mąż w Polsce, zagaił jako marszałek (był już nim przed 48 laty) sejm nadzwyczajny (26 czerwca). Wśród uroczystego nastroju i oczekiwania wygłosił ks. Woronicz natchnione kazanie na temat, który wyjął z Pisma św.:

„Posiądziecie ziemię, tylko się umacniajcie i bądźcie pieczołowitymi!"[3]).

Na pierwszem posiedzeniu sekretarz senatu Niemcewicz przedstawił pismo obywateli litewskich, wniesione do laski marszałkowskiej, tej osnowy:

— Wzywamy gorąco zebrany sejm, ażeby, korzystając z nadzwyczajnych wypadków obecnej chwili, obmyślił środki w celu odzyskania ojczyzny!

Na drugiej sesyi dnia 28 czerwca, zdawał sprawę z tego wniosku Matuszewicz, a przemawiał stylem ozdobnym i płomiennemi słowy.

— Niezawisła Polska — mówił w końcu — jest potrzebną dla Francyi i dla Europy! Jeśli przeto w dawniejszych epokach wszystko sprzysięgło się na naszą zgubę, w dzisiejszej wszystko sprzyja dźwignieniu naszemu. Powstanie więc Polska, co mówię?.... jest już Polska![4])

Po tych słowach taki zapał, uniesienie i rozrzewnienie zapanowało w izbie sejmowej, jak potem w całej Warszawie, że niepodobna było dalej prowadzić obrad i przerwać je musiano[5]). Na następnem posiedzeniu odezwały

[1]) Limanowski, 70, według *Orchowskiego, kroniki emigracyi polskiej*, t. V, Paryż, 1837.

[2]) *Wilkowyszki*. w połudn. zachodn. stronie od Kowna.

[3]) Morawski, VI, 142.

[4]) Sokołowski, IV, 1381.

[5]) Trudno opisać te chwile radości i rozrzewnienia. Wszyscy mieszkańcy Warszawy porzucili domy i swe zatrudnienia i zapełnili ulice i ogrody. Jakby z grobu zmartwychwstali, wzruszeni i podnieceni, witają się, ściskają i całują nieznajomi z nieznajomymi, rzucają się w objęcia, ronią łzy radości i życzenia sobie składają:

— Cieszmy się!... Doczekaliśmy nareszcie, my i ojczyzna nasza... niespodziewanej szczęśliwości!...

polskiej. Jeżeli tylko który z ministrów pruskich podniósł się i wygłosił nabrzmiałą świętym narodowym zapałem mowę oskarżającą przeciw niepoczciwym Polakom, znajdował zawsze poklask izby; nawet pan Studt stawał się wtedy mówcą i mówił bez manuskryptu. Także i przedłożenia, które za najnowszego kursu polskiego wnoszono w celu popierania niemczyzny w polskich krajach, przechodziły w sejmie prawie bez badania.

Teraz nagle zaszło niebezpieczeństwo, że ta piękna jednomyślność zarysuje się. Rząd nosił się z myślą zdobycia dla siebie w pewnych wypadkach prawa wywłaszczania względem polskiej własności ziemskiej, a jak słychać, konserwatyści nie chcieli dać na to swego przyzwolenia. Powód, który ich do sprzeciwienia się skłonił, jest charakterystycznym dla ducha, w którym prowadzi się nasza polityka kolonizacyjna. Przez tę politykę wprawdzie nic nie wskórano względem Polaków, ale odniesiono niewątpliwy sukces na innem polu: podbito ceny ziemi w niedorzeczny sposób w górę, a to się bardzo podobało agraryuszom. Prawo wywłaszczania przez państwo powstrzymałoby to bezustanne podbijanie cen, przeto z chwilą, kiedy rząd nosi się z planem podobnego przedłożenia, konserwatyści odmawiają mu swego poparcia.

Naturalnie, jesteśmy bardzo zadowoleni, że w ten sposób rozbił się plan rządu, który na nas wymusiłby ustawę wyjątkową niesłychanego rodzaju; dla konserwatystów jednak motyw ich sprzeciwienia się nie jest wcale zaszczytnym. Teraz, jak się zdaje, rząd pruski chce się zadowolić prawem pierwszeństwa na każdem kupnie ziemi, ograniczonem tylko do Polaków, a środek ten wcale nie stałby się tamą do bezgranicznego podbijania cen ziemi, wywołanego polityką kolonizacyjną. Raczej przeciwnie: spowoduje dalsze podwyższenie się cen — gdyż państwo, jeżeli jego prawo pierwszeństwa przy kupnie ma mieć jakąś wartość praktyczną, musiałoby płacić wszelką cenę — i to jest przyczyna, z której musimy zwalczać taką także akcyę ustawodawczą.

Państwowe pierwszeństwo przy kupnie ziemi uniemożliwiłoby Polakom przekazywanie swojej własności temu, kto im się podoba i to byłoby bardzo drażniącem naraženiem wolności rozporządzenia się jednostki. Gdyż w wielu wypadkach właściciel ziemski ma bardzo usprawiedliwiony interes w tem, aby swą posiadłość sprzedać nie byle jakiej kasie, ale pewnej określonej osobie. Przy sprzedażach krewnym ten interes istnieje sam przez się, ale i kiedyindziej istnieje z wielu powodów.

Wynika więc z tego, że państwowe prawo pierwszeństwa dla tych Polaków, którzy z powodów narodowych chcieliby dobra swoje sprzedać tylko Polakom, ostatecznie wychodzi na ukryty zakaz sprzedawania ziemi, co doprowadziłoby ich co najmniej do poważnych konfliktów. A w jaki sposób byłoby możliwe Polakom, aby się osiedlić w swej ojczyźnie, nabywanie ziemi, jeżeliby skarb państwa mógł wkroczyć w każdy kontrakt kupna i położyć rękę na przedmiocie kontraktowym?

Jak więc widzimy, pruska polityka antypolska staje się w środkach swoich coraz brutalniejszą. Być może jednak, że taką być musi, jeżeli nie ma ogłosić swego bankructwa; ale jeżeli tak, to w tem jest najlepszy dowód właśnie, że jest chybioną".

Ten prawdziwy „głos rozsądku" przytoczyliśmy nie dlatego, abyśmy mieli nadzieję, że zaważy na szalach polityki pruskiej — przywykliśmy bowiem zanadto do tego, że ani rozsądek, ani sprawiedliwość nie mają wpływu na postępowanie Niemców z nami — ale dlatego, że odsłania jaskrawo, iż

---

się głosy, ażeby, stosownie do życzenia Napoleona a według dawnego zwyczaju, zawiązać *konfederacyę generalną*. I przeszedł następujący wniosek:

— Sejm uchwala konfederacyą generalną i wzywa wszystkie części ziemi polskiej, aby do niej przystąpiły! Zadaniem konfederacyi generalnej jest przywrócenie Królestwa Polskiego![1]) Po jednomyślnem uchwaleniu tego wniosku sejm rozwiązał się, a władzę swą przelał na Radę generalną konfederacyi. Prezesem jej został marszałek sejmu, zastępcą wojewoda Stanisław Zamoyski, sekretarzem referendarz[2]) Kajetan Koźmian.

I pod dawnem godłem Orła z Pogonią, który to herb przyjęła teraz Rada generalna, zaczęła działać na wzór dawniejszych konfederacyi[3]). Wydała odezwę do obywateli, zwołała sejmiki i zgromadzenia gminne, wysłała poselstwa do króla i do Napoleona (od 28 czerwca 1812 r.). W tym samym dniu wszedł Napoleon do Wilna i zawiadomił o tem naród polski. Niebawem przystąpił do konfederacyi król Fryderyk August nawet z rozrzewnieniem, gdyż na słowa: *żyje Polska!* rozpłakał się serdecznie.

Napoleon we Wilnie pochwalił działanie konfederacyi generalnej i upoważnił ją do dalszego działania, przyobiecując poparcie i opiekę. W mowie swej, jaką miał do poselstwa polskiego *szczególnie chwalił dzielność i patryotyzm Wielkopolski i stawiał ją za wzór innym ziemiom.*

Ale Polacy nie usłyszeli i teraz od Napoleona tego, czego najbardziej pragnęli, lecz w powszechnym zapale tylko niektórzy więcej przewidujący mówili ze smutkiem:

— A przecież nawet w takiej chwili nie powiedział nam Napoleon wyraźnie, że wskrzesi Polskę, a nawet żądał i upominał, ażeby ze względu na sprzymierzoną z nim Austryę nie wciągać wcale do działania Galicyi![5])

— Cieszmy się!... Już jest, już jest Polska nasza!...

Z chóru izby sejmowej spadały na ulicę delikatną dłonią marszałkowej rzucane kokardki i przepaski niepodległości narodowej z czerwonych i szafirowych wstążek. Chwytano je skwapliwie i przypinano na ramionach i kapeluszach, a w ogólnem podnieceniu wołano po ulicach:

— Bracia, przywróćmy nasz ukochany strój polski przy wszystkich uroczystościach narodowych! — Morawski, VI, 143, 144. —

[1]) Sejm oświadcza uroczyście przed światem i narodem,—są słowa ogłoszenia — jako łączy się w konfederacyą generalną po to, ażeby rozdarte najniesprawiedliwszym gwałtem części ojczyzny nazad w jedno ciało spoić i wrócić ją dawnemu jej bytowi i szczęściu; a dalej orzeka, że Królestwo Polskie jest przywrócone i naród polski na nowo w jedno ciało połączony! — Sokołowski, IV, 1381.

[2]) *Referendarz*, z łać., zdający sprawę z prośb podawanych; urząd i tytuł w urzędowaniu w sądach królewskich; za Księstwa Warsz. tytuł urzędnika przy Radzie Stanu.

[3]) Rada generalna składała się z Gołaszewskiego, biskupa Wigierskiego, z dwóch radzców stanu Linowskiego i Marc. Badeniego, oraz ze 6 posłów ziemskich. — Morawski, VI, 144.

[4]) Lewicki, 402.

[5]) Nie powiedział tego, bo nawet teraz myślał tylko jeszcze o straszeniu Rosyi. W tej chwili tak groził wysłańcowi cara:

— Mam 80,000 Polaków; bić się będą jak wściekli, będę ich miał wkrótce 20,000!

W buletynach straszył wielkim zapałem Litwy, a na pierwsze potrzeby nie dał żądanych 4 milionów, a tylko pożyczył 400,000; broni też wcale nie dostarczył. — Morawski, VI, 147 (według Thiersa).

A właśnie może najwięcej pragnęła złączenia się z Polską ta Galicya zubożała, oddawna i ciągle obdzierana. Austrya bowiem w ustawicznych wojnach przeciw Francyi nie oszczędzała jej nigdy i była dla niej zawsze macochą. Z Galicyi wywożono corocznie do Wiednia z miejscowych podatków 10.500,000 złr. Nawet na srebra domowe nałożono ogromny podatek, stemplując je po 21 krajc. od uncyi, zabrano wszystkie srebra kościelne i wyłowiono wszelką brzęczącą monetę, dając w zamian *bankocetle* (papierowe bilety bankowe), które straciły wkrótce cztery piąte części swej wartości (11 lutego 1811 r.). To też takie zdzierstwo rządu uwydatnił nawet złodziej pewien, który okradłszy w nocy kościół, taki na nim przylepił napis:

Cesarz kradł za słońca,
a ja za miesiąca! (przy księżycu). Morawski, VI, 117.

(Ciąg dalszy nastąpi).

interes i to taki interes, który w żargonie codziennym nazywamy „geszeftem“, jest głównym motywem naszych przeciwników politycznych w Niemczech. A tego rodzaju „interes“ nie stwarza nigdy ani wielkiej, ani skutecznej, ani niebezpiecznej prawdziwie polityki i w tem nasza pociecha. Polityka antypolska w Prusiech, to w znacznej części „polityka kieszeni“ i z konieczności jak kieszeń musi być ciasną i ograniczoną.

Listy lwowskie.

Lwów, 15. Kwietnia

(Chaos przedwyborczy; stanowisko żydów; akcya rusińska; z lwowskiego teatru.)

Gdyby ktokolwiek chciał obecny okres przedwyborczy nazwać jednem słowem, musiałby nazwać go: chaosem. Chaos ten panuje wszędy. Szalona gmatwanina pojęć, idei, dążności; niebywały napływ kandydatów, agitatorów, szerzycieli nowych wiar i przykazań; olbrzymia ignoracya polityczna, brak orjentacyi, brak ujęcia głównych zadań narodowej polityki.

Jest to zupełnie naturalny skutek obecnych i dawnych stosunków, wypływa to widnie z warunków, w jakich Galicya się rozwijała i w jakich obecnie pozostaje.

Galicya nigdy nie miała warunków, któreby pozwalały całemu społeczeństwu korzystać z pełni praw obywatelskich. Rząd nigdy nie roztaczał zbytniej pieczołowitości nad krajem; pewna warstwa społeczna, popierająca i wsparta przez rząd centralny, uzurpowała sobie kierownictwo i władzę w społeczeństwie. Wszelkie wolnomyślniejsze dążności, zasady szczerze demokratyczne, narodowa akcya były zawadą dla jednostek, które biorąc udział w pracy społecznej, narażały się władzom. Za ogół społeczeństwa myślały pewne partye; rosło stąd niezadowolenie w szerokich kołach ogółu, rosła równocześnie ignorancya polityczna i brak politycznej wytrawności.

Błędy te zemściły się obecnie.

Z nową reformą wyborczą przeszło prawo głosowania na bardzo wielu; wybór jest pozornie łatwiejszy. Stąd też każdy, mający jakiekolwiek szersze aspiracye, mający za sobą jakiekolwiek zasługi, biorący choćby niewielki udział w pracy społecznej, mający trochę pieniędzy na wyrzucenie — ogłasza się kandydatem. Mamy tak naiwne przykłady, że w pewnem miasteczku galicyjskiem kandyduje pan X., bo — ładnie śpiewa, jest bardzo miłym w obejściu towarzyskiem. Do dziś naliczyć można około 700 kandydatów. Wskazuje to na deprawacyę polityczną i zupełny brak jakiejkolwiek organizacyi. Po za socyalistami pewną organizacyę ma stronnictwo demokratyczno-narodowe tak na wsi jak i po miastach, ma ono atoli za sobą ledwo trzy lata pracy w zaborze austryackim i nie miało jeszcze czasu silnie się zorganizować.

Od wyborów dzieli nas ledwo sześć tygodni. Chaos zamiast się zmniejszać, zwiększa. I zwiększa się wszędy: u Rusinów, u Polaków.

Zamęt nowy wnoszą żydzi. Wspomnieliśmy byli w jednej z poprzednich korespodencyi o powstaniu wyborczej organizacyi żydowskiej, mającej na celu przeprowadzenie na posłów żydów-Polaków. Stworzył ją i przewodzi jej dr. Natan Loewenstein, członek Rady Narodowej. Wyrażaliśmy nadzieję, że organizacya ta zespoli żywioł żydowski z Polakami, że odda nam znaczne przysługi. Tymczasem.

Dla poparcia swych zasad organizacya wydaje od miesiąca tygodnik „Jedność“. W naczelnym artykule „Jedność“ mówiła: „Czując się częścią nierozłączną wszystkiej Polski, przemawiamy jednak oddzielnie i samoistnie. Pismo nasze jest organem polskich żydów. Stojąc na stanowisku narodowo-polskiem, nie przeoczamy jednak fakta licznych odrębności i właściwości tej części narodu. Nie zapoznajemy też obywatelskiego i narodowego nieuświadomienia w tym kierunku całej rzeszy naszych współwyznawców na ziemiach polskich. Te odrębności wymagają użycia odrębnych środków, zastosowania osobnej metody działania.“

Oświadczenie to albo nieszczere albo nieszczęśliwie wypowiedziane. Jakiż to organizm społeczny ma w sobie odrębne, podrzędne (?) organizmy społeczne? Jaki naród ma „odrębne części narodu?“*)

Odrębności pewne wyjawiają już w akcyi wyborczej, żądając ściśle ozna-

* Nie jesteśmy zdania naszego Szan. Korespondenta. Twierdzimy bowiem, że żydzi są obcem, odrębnem ciałem w naszym narodowym zawiązku. — Red.

Z teatru.

Wujaszek Wanja — Czechowa, benefis p. Zawierskiego (gościnny występ p. Zelwerowicza).

Prawdziwie rosyjski nastrój udzielał się i nam na sobotniej premierze. Odczuwaliśmy potężnie, że podbija nas talent wielkiego słowiańskiego poety-marzyciela. Żyliśmy chwil kilka zaledwie życiem jego osób, a nam się zdawało, że żyjemy niem od wieków i żyć będziemy po wieki. Ujarzmił nas mimo nas i, choć ciężkiem i beznadziejnem zdawało nam się istnienie owo, było nam dobrze. A tak było, bo czuliśmy się inni, jeżeli nie lepsi, to subtelniejsi, delikatniejsi a i cieplejsi.

Rzadko która sztuka wywiera tak głębokie wrażenie, jak *„Wujaszek Wanja.“* Tło melancholijne, rozpacz prawie beznadziejna, żal za straconemi ideałami, zgryźliwa złośliwość, obawa i nadzieja szczęścia tworzą dziwną harmonię jęku i bólu, straszną swym realizmem, lecz przepiękną swą poezyą. —

Jeżeli Gorkij w swem *„na dnie życia“* wstrząsa dantejskiemi obrazy piekła ludzkich nizin, jeżeli nuży banalnością, a razi brutalnością w *„Dzieciach słońca“*, (przypominających „Wujaszka Wanję“) to Czechow przeciwnie nie wstrząsa, nie burzy i razi, lecz wżera się w nas, wpija w nasze nerwy, wssa w nasze czucie melancholią swego bolu, tęsknotą swojej rezygnacyi. I dziwnie! Nie czujemy się bynajmniej osamotnieni lub osłabieni. Mimowoli mamy tę świadomość, że tysiące dzieli nasze smutki, że łączy się z nami braterskim węzłem cierpienia, że walcząc wie dobrze, że i my walczymy.

Za pięknym, a raczej nadto poetycznym oblana urokiem sztuka cała, bym chciał treść jej podawać. Lecz i po co? Nie zdołałbym i tak streszczeniem wywołać dreszczu, bólu lub grozy, uczucia smutku lub nadziei, który przebija z dramatu.

Szczerą wdzięczność odczuwam wobec p. Zawierskiego za wybór sztuki. Jeżeli przypomnę sobie poprzednie benefisowe, uderza w nich banalna nicość lub patetyczna sztuczność (prócz Kandidy). Wdzięczność moja tem głębsza, że raz przynajmniej na scenie naszej żyli artyści.

Czuło się ciepło i żar świętego zapału, którym ich ogarnął talent Czechowa. To ciepło, to przejęcie się działało suggestyjnie i na widzów. To też rzadko da się obserwować, a w naszym teatrze nie pamiętam wcale, tej harmonii między artystami a widzami. Tworzyliśmy i jedno ciało, a i duchem byliśmy jedni.

Potęgowala ten cały nastrój znakomita reżyserya, którą, jeżeli nie kierował, to inspirował gość nasz sympatyczny p. *Zelwerowicz.*

Cieszyło mnie bardzo, że zwracano tak baczną uwagę na najdrobniejsze

czonej liczby mandatów, zapowiadając, że ewentualnie nawet w razie nieuwzględnienia ich żądań postawią samoistne kandydatury. A nie zapominajmy, że żydów w Galicyi jest 800 tysięcy z górą, że oni w Galicyi wschodniej decydują o większości polskiej w miastach, a po wsiach tworzą znaczny procent narodowości polskiej.

O ile więc chaos obecny nie ustąpi, nie zaniknie, wybory mogą wypaść bardzo przykro dla nas.

Nie mniejszy, co prawda, chaos panuje w obozach ruskich. Ścierają się narodowcy i moskalofile, radykali i socyaliści. Mają jedynie styczny punkt: nienawiść do Polaków. Ta ich niekiedy jednoczy. Jednoczy ich zwłaszcza w akcyi gminnej. Na ubiegłej sesyi sejmowej przeszedł wniosek, tyczący się zaprowadzenia języka urzędowego po gminach. Językiem urzędowym gmin ma być ten, który panuje w chwili wejścia ustawy w życie. Dotąd w Galicyi Wschodniej gminy urzędowały przeważnie w języku polskim. Obecnie, skoro zachodzi obawa, że język polski w gminach może być zatwierdzony prawnie, Rusini forsują po wsiach uchwały, narzucające gminom język ruski. W przeciągu miesiąca około 300 gmin zmieniło swój język urzędowy. Wprowadzano uchwały nieraz bezprawnie, nieformalnie, gwałtem — akcya jednak jest prowadzona z ogromnym nakładem sił; jest to jeden z momentów ogólnej walki Rusinów przeciw stanowi posiadania Polaków.

Dzielnica nasza staje więc wobec nader skomplikowanych zagadek, w obec bardzo zażartej walki. Podałem Wam garść wiadomości, nie napawających nikogo zbytniemi nadziejami. Dobrze jest w takich chwilach skąpać się w ożywczych promieniach słońca. Ożywczym takim momentem to chwil parę, przeżytych w lwowskim teatrze który w ubiegłym tygodniu wystawił Stanisł. Obrzuda *„Słoneczną pieśń"*.

Stanisław Obrzud to młody, wybijający się poeta. Drukował dotąd swe rzeczy w „Słowie Polskiem" i „Naszym Kraju." Urodzony w roku 1868 zmagał się w walce o byt, o zyskanie wiedzy. Zyskawszy stanowisko, stanął do walki szermierzyć o ideały demokratyczne i narodowe. I w walce patrzył w przyszłość, krzepił swą duszę, widząc wschodzący siew narodowych idei. Widział wschodzący siew, zaczątki odrodzenia, zaczątki przebudowy naszej smutnej, krwawej rzeczywistości; a w myśli, w wyobraźni snuł dalej, marzył o świetnych wynikach, o urzeczywistnieniu naszych najdroższych pragnień. Rodziła mu się w duszy „Słoneczna Pieśń."

„Słoneczna Pieśń" — to życie porozbiorowe Polski. Od powstania Kościuszkowskiego, przez powstanie narodowe, przez dzisiejsze obudzenie się narodowej idei, po ziszczeniu się zupełnem. Naród się odznacza, jednoczy; zbiera się w Kruszwicy na odświętny dzień Zmartwychwstania. Znak ma dać dzwon z wieży Popielowej. Już wznoszą się ręce dzwonić na Zwycięstwo — nagle zwisają w powietrzu, bo brakło sił...

Koniec dramatu? Tak, koniec dramatu scenicznego, ale dziać on się będzie ciągle w życiu naszem, w naszych czynach — — — aż nie zadzwonią dzwony Zwycięstwa. *M. N.*

Listy warszawskie.

Warszawa, d. 14 kwietnia.

(Krwawa Łódź. — Zabójstwa. — Bomba. — Powrót do pracy. — Zjazd historyczno - filologiczny. — Marjawici.)

Od kilku dni *mordy i skrytobójstwa w Łodzi* wybuchły z nową siłą. W ciągu ostatnich dni czterech padło ich ofiarą około 50 osób — a nie zdaje się, aby krwawa lista, którą codzień wieści z Łodzi uzupełniają, miała się prędko zakończyć. Kto kogo zabija i za co — nie jest wcale jasne. Utarło się już nazywać te mordy „walkami bratobójczemi" i ogół, powtarzając tę nazwę, sądzi, iż są to ciągle porachunki partyjne pomiędzy narodowcami a socyalistami; tymczasem, oprócz powyższego wchodzą tu w grę, jak się zdaje, i inne jeszcze czynniki. Przesilenie ekonomiczne lat ostatnich, ciągłe strejki, wreszcie lokaut ostatni wyrzuciły tysiące robotników na bruk — a niejeden z tych stoczył się na poziom mętów wielkomiejskich. Wiadomo, że żywioły takie w porachunkach osobistych chętnie imają się noża i braunninga — a że słynne niedołęstwo policyi tutejszej zapewnia im, pomimo stanu wojennego, bezkarność zupełną, niejedna przeto zapewne „ofiara walk bratobójczych" z ich ręki poległa. Wiadomo też, że bardzo wielu bojowców socyalistycznych przerodziło się, naturalną rzeczy koleją, w bandytów i donosicieli; dawni ich towarzysze, w

---

nawet szczegóły. Ileż melancholijnego było nastroju w umiejętnem skandowaniu dzwonków zajeżdżających trójek. Ileż przejęcia się było w przedwybuchowej scenie aktu trzeciego w niemej mimice Wujaszka Wanji (p. Zelwerowicza) i Heleny Andrejewny (p. Bogusińskiej).

A chociaż w akcie drugim zawiodła burza, deszcze i wicher, a błyskawice przypominały reklamowe efekty świetlane, przyznam się, że po raz pierwszy byłem zupełnie zadowolony, a chciałbym być optymistą, wyrażając nadzieję, że nie będę po raz ostatni.

O grze artystów pewno już powiedziałem, co mogłem był powiedzieć. Skończony typ kornego idealisty, poświęcającego siebie wraz z swojemi zdolnościami w ofierze eg iście krewnemu oddał niezrównanie p. *Zelwerowicz.* Gra nerwów, namiętny wybuch pokrzywdzonego „ja" i melancholijna rezygnacya z tak realną a zarazem subtelną oddane były siłą, że nie można lepszej wyobrazić sobie interpretacyi.

Po za nim bądź co bądź prym wieczoru dzierżył p. *Junosza.* Przerósł sam siebie. Przemowa w akcie trzecim należy obecnie do jego najlepszych kreacyi.

I p. *Zawierski* w skomplikowanej roli lekarza Astrowa dał nam wspaniały typ człowieka i dziś jeszcze inteligentnego, choć otoczeniem swem wiejskiem zaśniedziałego. Kocha przyrodę, a szczególnie lasy. On daje mu chwile jaśniejsze i łagodniejsze. Gdy rozpacz nadchodzi, on pije i pije aż zda mu się, że zapił wspomnienia, a żyć może zapomnieniem.

P. *Wojciechowska* mogła się podobać, jak również dobrą była i p. *Bogusińska.* Wolałbym coprawda był widzieć mniej uczucia a więcej ciepła przy końcu aktu ostatniego u p. W. Zdaje mi się, że wtenczas najpiękniejsza ta scena całego dramatu przemówiłaby potężniej do widza.

Reszta z p. *Jaraczem* grała poprawnie. Jako nianię widziałbym był chętnie p. *Czerniakową.*

Dwa słowa w końcu pod adresem parteru gimnazyalnego. Uczucia swe bądź co bądź okazuje zbyt realistycznie. Oburzać się nie można, tem więcej, jeżeli się pamięta te czasy, w których się stałym parteru było gościem. Zdaje mi się jednakowoż, że mimo całą sympatyę do tej najwdzięczniejszej z wdzięcznej publiczności, zwrócić trzeba jej uwagę, by na przyszłość zadowolenia swe czy mniej lub więcej żywiołowe okazywała w międzyaktach a nie jak często jej zwyczajem podczas przedstawienia. Nie narazi się wtenczas na zarzut, że przeszkadza, a nawet że jest nieokrzesana.

A przecież słynie jej grzeczność i...

A. P.

części dla ratowania honoru partyi, głównie zaś ze względu na bezpieczeństwo osobiste, tępią ich, gdzie mogą — i to jest trzecia kategorya ofiar. Fakt wreszcie, że w dniach ostatnich giną znani agitatorzy socyalistyczni, zdaje się dowodzić, że wśród zabójców znajdują się i robotnicy, może niepartyjni, ale doprowadzeni przez wichrzenia socyalistyczne do nędzy i rozpaczy — i mszczący się obecnie na tych, którzy ich nieszczęść stali się powodem.

Dziś o godz. 4-tej rano wybuchły na przedmieściu Łodzi, Bałutach, dwie *bomby*. Położone były przed domami, w których znajdują się sklepy spożywcze, utrzymywane przez związek demokracyi chrześcijańskiej. Wybuch, oprócz wybicia szyb, szkód żadnych nie wyrządził. Przed jednym sklepem znaleziono zwłoki człowieka, poszarpanego przez wybuch; prawdopodobnie jest to sprawca zamachu. Zdaje się, że wybuch nastąpił przedwcześnie i przypadkowo. Wypadek ten komentują rozmaicie: *Rozwój* łódzki zaznacza, że sklepy demokracyi chrześcijańskiej robią wielką konkurencyę okolicznym sklepikarzom żydowskim, którzy starają się zgnębić je wszelkiemi sposobami. Korespondent warszawskiego *„Gońca“* notuje fakt, że w nocy poprzedzającej wybuch, rodziny żydowskie, zamieszkujące domy sąsiednie, opuściły mieszkania. Wypadek wywołał w mieście wielkie oburzenie na niewiadomych dotąd sprawców.

Bezrobocie, wywołane przez *lokaut*, ma się *ku końcowi*. Robotnicy, którzy przyjęli warunki fabrykantów, zapisują się raźno do pracy. Fabryka Poznańskiego ma już komplet robotników. Dokonywane są obecnie po fabrykach naprawy uszkodzonych kotłów, maszyn i t. p. Potrwa to około trzech tygodni, poczem fabryki będą w ruch puszczone.

W ciągu dni czterech, od czwartku do niedzieli ubiegłego tygodnia, obradował w Warszawie *zjazd historyczno-filologiczny*, w którym uczestniczyło około pięciu set pedagogów polskich. Oprócz nauczycieli z zaboru rosyjskiego przybyło na zjazd kilku przedstawicieli szkolnictwa galicyjskiego. Na posiedzeniach sekcyjnych zjazdu odczytano szereg cennych referatów, z których niejeden wywołał ożywioną dyskusyę, przyczyniającą się do wyjaśnienia i ustalenia dróg, po których pierwsze kroki stawia odrodzona szkoła polska. Niestety nie obyło się bez przykrych dysonansów. Jeden z prelegentów, który się widać nie otrząsł jeszcze zupełnie ze wspomnień apuchtinowskich, zalecał, aby arcydzieła literatury obcej odczytywano w szkołach nie w przekładach polskich, lecz w rosyjskich, które w mniemaniu tego pana są jakoby lepsze. Drugi uzasadniał „zaszczytne“ stanowisko, jakie się w szkole polskiej należy językowi rosyjskiemu i żądał, aby uczniowie przyjmowani do klasy wstępnej, znali już początki tego języka. Wystąpienia te spotkały się z należytą odprawą.

Pomiędzy ulegalizowanymi niedawno *maryawitami* a prawowiernymi katolikami zaczynają się znów *starcia*. Onegdaj do domu modlitwy maryawitów w Warszawie wtargnęło czterech ludzi i zaczęło bić kilku maryawitów. Trzech napastników maryawici ujęli i oddali policyi. Onegdaj widownią krwawego starcia było też miasteczko *Okuniew*, o milę od Warszawy położone. Szczegółów zajścia dotąd brak, wiadomo tylko, że podczas walki na kije wielu katolików i maryawitów odniosło ciężkie rany. Jedna włościanka została kijami zabita. X.

Listy petersburskie.

Petersburg, 14 kwietnia.

(Budżet. — Położenie Koła Polskiego.)

Sytuacya wyjaśnia się nieco. Powstał grunt, na którym można się oprzeć, ażeby wyciągnąć dalsze wnioski co do istnienia dumy i wogóle biegu spraw w Rosyi.

Na parlament za granicą patrzą wszyscy jako na instytucyę prawodawczą. Inaczej w *Rosyi*. Prawica „monarchiczna“ chce go zużytkować, jako środek powrotu do samowładztwa, lewica — jako rewolucyjną trybunę. Pudami idzie od lewicy dumy rozmaita bibuła na wszystkie strony. To jest jeden wzgląd, dla którego lewica siedzi cicho; drugi wzgląd — to nadzieja oddziaływania przez wiecowanie. Wszystko ma doprowadzić do wybuchu, który całej lewicy przedstawia się jako jedyne wyjście z obecnej sytuacyi, jakkolwiek ta sama lewica zdaje sobie dokładnie sprawę z depresyi energii rewolucyjnej w obecnej chwili.

Rząd przedsiębierze wszystkie środki ostrożności, ażeby ograniczyć

Bańki mydlane.

Pani!

Uskarżasz się Pani, że listy moje są bardzo niezrozumiałe.

Czyż naprawdę? Dziwi mię to bardzo i trochę smuci — — — zdawało mi się przecież, że nie potrzeba się nawet o to starać, żeby mię zrozumieć, potrzeba tylko odczuć.

Prawda, tylko odczuć, a przecież to właśnie podobno tak trudne....

A więc i Pani nie czujesz — nie byłaś Pani nigdy po za granicą świadomości, tam gdzie się kończy rachunek, a zaczyna — jego płacenie?

A mnie się zdawało, że to tylko brzydka połowa rodu ludzkiego nie płaci rachunków między głową i sercem — coprawda u nas trudno doszukać się wogóle głów i serc — — miejsce mózgu zajmuje często móżdżek — no, a serce? Ależ kto widział się wogóle o to pytać, tego my przecież nie potrzebujemy!

My, my — czy wie Pani jak się to „my“ u nas wymawia? — To trzeba umieć, ażeby zaś umieć, trzeba być doskonale obznajomionym ze stosunkami Poznania.

Otóż to „my“ wymawia się zawsze bardzo uroczyście, ze specyalną intonacyą, przyczem najważniejszą rolę odgrywa ułożenie fizyognomii, zastosowane do celu, jakim jest ostatecznie rzucanie w proch tego wszystkiego, co nie należy do tego „my.“

Czyni się to przy każdej sposobności, wszystko jedno, czy się mówi „my inteligenci,“ czy „my kierownicy ludu,“ czy też „my literaci,“ albo „my przedstawiciele prasy“ czy w końcu „myśmy Bohuna usiekli“ — zawsze ten sam wyraz twarzy i toż samo „largo“ w głosie, zawsze powaga i wielka uroczystość.

A są i tacy, którzy z podwójną uroczystością w tonie mówią n. p. „my lekarze;“ wówczas słyszy się to tak samo jakby się mówiło: „my, lekarze z zawodu, a prelegenci-literaci z powołania.“

Tak, tak, bo proszę Panią, zawód u nas nigdy nie licuje z powołaniem; niejeden robotnik, zajęty choćby czyszczeniem relsów tramwajowych może nieraz mieć powołanie i zdolności na genialnego statystę, profesora, lub inteligentnego medyka — ale to się zdarza wszędzie, *spiritus flat ubi vult*, my tylko zachowujemy w tym względzie pewną indywidualność, polegającą na odwrotnej stronie medalu: oto są statyści, dyplomaci i inteligenci, mający zdolności i powołanie do czyszczenia tramwajowych relsów.

Jakie to dziwne, jakie różne są aspiracye jednostek, prawda Pani?

Są na przykład ludzie, zwłaszcza między aptekarzami, którzy mają taką drobną ambicyjkę: siadać w teatrze w loży pierwszego piętra.

Drobna słabostka, prawda?

A jednak tacy ludzie źle robią, bo towarzystwem swojem z konieczności

możliwy wybuch. Nie chce pozwolić, ażeby duma komunikowała się z zarządami miejscowemi bezpośrednio, przeczy nawet prawu dumy zapraszania do komisyi ekspertów. W rewolucyę jednak nie wierzy, w czem ma słuszność.

Obecnie środek ciężkości położenia politycznego przesunął się w inne miejsce. Ponieważ finansiści francuscy stracili (bardzo słusznie) zaufanie do rządów samowładnych, więc rząd, potrzebując pożyczki, chce uzyskać zatwierdzenie *budżetu* przez dumę.

Budżet jest obecnie kluczem sytuacyi. Sytuacya, zajęta przez rosyjską lewicę względem budżetu, jest niedorzeczna, jak prawie wszystko, co ona robi. Lewica proponuje odrzucenie budżetu bez dyskusyi, a przecież nawet z ich punktu widzenia dyskusya budżetowa jest doskonałym środkiem agitacyi i uświadomienia.

Kadeci postawili wniosek o odesłanie budżetu do komisyi. Obecnie mają taką minę, jak gdyby po niewielkich modyfikacyach budżetu chcieli go zatwierdzić. Tego rodzaju krok K. D. (kadetów) odkryłby szerokie pola do przewidywań. K. D. (kadeci) zbliżyliby się bardzo do październikowców w najważniejszej kwestyi, kwestyi taktyki parlamentarnej. Inne ich projekty rząd mógłby „poprawiać" przez mieszane komisye rady państwa i dumy. O ileby zachowali przy takiej zmianie taktyki dawne swoje wpływy w społeczeństwie rosyjskiem, to nie potrzebaby było ani dumy rozpuszczać, ani zmieniać ordynacyi wyborczej. Jednakże w tem jest sęk, że kadeci, zatwierdziwszy budżet, straciliby wpływy wśród chłopów i im pokrewnych żywiołów z inteligencyi. W każdym razie, tymczasem rząd liczy na współdziałanie kadetów w kwestyi budżetu.

Położenie *Koła polskiego* względem budżetu jest następujące.

Tymczasem jeszcze nie ma najmniejszej przyczyny, ażeby Koło głosowało za budżetem. Obecny rząd tylko jeden wniósł projekt, tyczący się Polaków: o wyodrębnieniu Chełmszczyzny. Odrzucając budżet, Koło byłoby w zgodzie z nastrojem opinii w Królestwie. Ponieważ jednak głosy polskie będą prawdopodobnie decydujące więc rząd rozpocząłby system represyi wzmocniony, co mogłoby się odbić na prasie i na Macierzy.

O ileby Koło zatwierdziło budżet, wtedy różnica między jego taktyką i taktyką realistów zmniejszyłaby się znacznie.

W pierwszym wypadku demokracya narodowa poszłaby na lewo, w drugim — na prawo.

Polacy dotąd popierali wszystko, co wzmacniało w Rosyi układ konstytucyjny. Czy zatwierdzenie budżetu umocniłoby położenie parlamentu, czy zrobiłoby go zbytecznym? Czy rząd nie mógłby nadal rządzić sam, opierając się na zatwierdzonym przez dumę budżecie?

Te wszystkie pytania należy rozstrzygnąć.

Jak widzimy, duma zbliża się do chwili przełomowej, a z nią razem całe państwo. Dopóki rząd nie przekona się, że duma budżet odrzuci, dotąd będzie ją tolerował. Pod tym względem sytuacya przedstawia się jaśniej.

Ponieważ zaś rozwój wypadków doprowadzi do tego, co jest treścią właściwą całego ruchu, to jest do kwestyi finansowych, więc obecnie i przedstawiciele narodów państwa rosyjskiego mają możność odegrania roli czynnej.

A.

Przegląd polityczny.

Skończyły się dni wywczasu dla posłów i sejmu pruskiego i parlamentu niemieckiego. Zjechali się znowu do Berlina, by radzić nad dobrem narodu. Co prawda radzenie to polegać będzie głównie na gadaniu nad etatem. Nie łudzi się bowiem dziś nikt, że „wojowniczy" kanclerz nie zechce narażać na szwank skojarzonej w ciężkim porodzie zgody konserwatywno-liberalnej. A wiadomo przecież, że zgoda ta na kruchych oparta fundamentach. To też by jej nie uronić odkłada rząd wszelkie projekty do przyszłej jesieni w nadziei, że lato ewentualnie wzmocni ugodę, a może, jak prasa liberalna przypuszcza, by zyskać na czasie, by wewnątrz sfer rządowych znaczne, a obecnym warunkom odpowiednie urządzić zmiany.

Niemile uderzyć musiał postępowców i liberałów pruskich widok osławionego pana *Studta*. Domagali się jego ustąpienia przed Wielkanocą tak gwałtownie, pomagał im nawet znany wróg Polaków wolnokonserwatywny

---

drażnią innych inteligentnych ludzi, którzy z najuniżeńszą atencyą i błyskiem wizjonerskiego uniesienia w oczach spoglądają w stronę kolatorskiej ławki naszej parafialnej świątyni sztuki — alias w stronę loży prosceniowej — za to z wyraźną abominacją odnoszą się do siedzącego na wspólnych z nimi ławach aptekarza, który z swej strony bardzo źle czyni, drażniąc tamtych bo zdaje się zupełnie ignorować politykę naszych kół demokratyczno-ugodowych, mającą jako cel główny i pierwsze zadanie: „Nie drażnić!" —

Pani! Czy znasz Pani bajkę o zatraconych skarbach? — To taka dziwna historya — wcale nie pocieszna, a przecież pobudza do śmiechu — może do śmiechu przez łzy?

Czyś Pani się już kiedy śmiała przez łzy?

Ludzie, którzy się najczęściej śmieją, są najnieszczęśliwsi, powiedział jakiś uczony mędrzec — może ma racyę — tylko zapomniał dodać:

Ludzie, którzy się często śmieją i są nieszczęśliwi, ludzie ci są chorzy, nienormalni i waryaci. —

Bo jak można śmiać się i na przemian łzy ronić? —

Więc Pani nie znasz bajki o zatraconych skarbach? —

Czytałem ją niedawno w jakiejś starej zapylonej księdze — — a potem śnił mi się w nocy krzyż brylantowy i pierścień z dużym szmaragdem. Kamienie lśniły, połyskiwały, rzucały cały snop promieni i świateł — patrzyłem na nie, widziałem wyraźnie — w tem nagle zjawiła się jakaś ręka o zakrzywionych palcach, palce zadrgały kurczowo, chwyciły krzyż, zrobiło się ciemno — aż nagle z pomiędzy czarnych palcy owej tajemniczej ręki ściskającej krzyż poczęły płynąć łzy i krew. —

A te łzy krwawe zaświeciły jasno, bardzo jasno — —

Potem ręka się rozwarła i krzyża w nich już nie było — pierścień z szmaragdem gdzieś przepadł — a w ciemności ozwał się straszny, gardłowy śmiech — — —

W powietrzu wisiały wciąż owe łzy świecące jasno jak słońce, a takie przytem ciężkie — —

Padają na serce ciężarem kamiennym — —

A komu te łzy z krzyża padły na serce, ten musiał zapłakać! — —

I potem zewsząd ozwało się łkanie — bolesne łkanie, takie co to wstrząsa nawet męską pierś — — — takie, w którem się wypowiada i ból i gniew święty. — —

— Kto zaprzepaścił skarby? — — odzywają się głosy. —

A odpowiedzi nie słychać....

Dziwna ta bajka o zatraconych skarbach. —

Czemu się Pani nie śmiejesz, nie możesz się śmiać?

Prawdzic.

hr. Zedlitz, że zdawało się, że we wakacyach zniknie pruski ten mąż stanu z powierzchni świata urzędowego. Tymczasem siedzi jeszcze pewno na swoim fotelu, a chociażby dni jego były policzone, przyznać mu trzeba, że gra rolę swą nieźle. W wielkiej swej mowie w sprawie wykształcenia kobiet wiał jakoby nawet wiatr postępu. Nie szemat ma być podstawą wychowania kobiecego, twierdził minister, lecz idea, duch. Co prawda na razie nie uwierzy ministrowi nikt na słowo, temwięcej, że jak zdaje się, ma to być ostatnie słowo ministra, ostatnie, które ma zarazem wykazać, że ten dziwoląg ministra oświaty umiał iść też z prądem czasu.

Innym kandydatem na odstawkę jest obecny sekretarz stanu finansów rzeszy *Stengel*. On sam oświadcza, że nic nie wie o tem, że ustąpi. Pogłoski i to w kołach urzędowych mówią jednakże coś przeciwnego. I słuszność pewna po ich stronie, temwięcej, że pan ten z reformami podatkowemi, które roku zeszłego w parlamencie przeprowadził, szczęścia nie miał wcale. Podatki te nie przyniosły bowiem oczekiwanych rezultatów. Następcą jego ma być znany ekonomista *Paasche*, będący obecnie wiceprezydentem parlamentu. Najbliższa przyszłość okaże zapewne, czy on będzie powołanym, a i zdolnym, by nowych przysporzyć rzeszy funduszów. Wzrastające wciąż wydatki każą szukać nowych źródeł. Tych brak. Jest jedno; na razie jednakowoż zbyt wiele głosów odzywa się przeciw, by módz spodziewać się, że w najkrótszym czasie przyjmie się myśl *dochodowego podatku rzeszy*.

I sekretarz stanu spraw wewnętrznych hr. *Posadowsky* nie może powiedzieć, by miał dni spokojne. I jemu, znanemu nietylko ze swej pracowitości lecz i ze zrozumienia społecznych potrzeb utrudniają krok każdy konserwatyści. A i *Bülow* nie pracowałby z nim razem, gdyby mu nie był potrzebnym. Na zjeździe handlowym, który dni kilka temu się odbył, musiał „społeczny hrabia" zastępować księcia-kaclerza. Mówił im piękne komplementy, śpiewał hymn o harmonii przemysłu i handlu z rolnictwem. Niestety nikt mu nie uwierzył, bo wiedział, że za nim stoi jeszcze kanclerz, który na zjeździe rolników ujawnił w najczulszy sposób swe sympatye agrarne.

Pozatem Niemcom, a szczególnie Prusom ogromny sprawia kłopot *nowa ustawa antypolska*. Jak już z posiedzeń komisyi budżetowej widać, ekspropryacyjne plany rządu pruskiego nie myślą popierać rządowi mamelucy, obawiając się nie bez powodu, że w danym razie prawo to odbić się może na ich własnej skórze.

Przechodząc do polityki *zagranicznej* podkreślić trzeba uprzejme przyjęcie, jakiego doznał nowy ambasador francuski *Cambon* ze strony cesarza Wilhelma. Pisaliśmy już w ostatnim numerze, że fundament do *ugody francusko-niemieckiej* w sprawach kolonialnych jest już przygotowany. Co prawda nie stanie się projekt ugody natychmiast sojuszem. Na to potrzeba czasu, tem dłuższego, im głębsza była i po jednej i po drugiej stronie nieufność, im silniejszy antagonizm.

Niemcom zresztą zależy bardzo, by z sąsiadem swym do normalnych przyjść warunków. Podróż wiosenna *wujaszka Edwarda* niepokoi ich na seryo. Wspaniałe przyjęcie *kartageńskie, poufne* rozmowy monarchów nastręczyły wiele możliwości i kombinacyi. Wszystkie one bądź co bądź skierowane przeciw agresywnej i wyzywającej polityce Niemiec. Nie bez cienia słuszności obawiają się Niemcy, że Edward planuje coś przeciw nim na konferencyi w Haagu, która, jak wiadomo, zbiera się 15 czerwca.

Wujaszek tymczasem pożegnawszy *Alfonsa hiszpańskiego* wyjechał na pełne morze, i podąża ku brzegom włoskim, by w porcie wojennym *Gaecie* spotkać się z *włoskim królem Wiktorem Emanuelem*. Zważywszy to, że Edward odwiedził Paryż, spotkał się z monarchą hiszpańskim, obecnie z włoskim, a ma jeszcze być w *Atenach* u króla greckiego, którego ubiegłego tygodnia rewizytował król włoski, zrozumiemy doniosłość polityki Edwarda. I chcąc nie chcąc uznać musimy, że monarcha ten bez rozgłosu, bez mów, telegramów i innych dekoratywnych dodatków najdonioślejsze kwestye europejskiej i światowej polityki w spokojny i racyonalny załatwia sposób.

Skutki obecnej gry politycznej okażą się zapewne niebawem i to, jak przypuszczać należy na konferencyi w *Haagu*.

W *Rosyi* kwestya *agrarna* wciąż na porządku dziennym. Pozatem i kwestya załatwienia budżetu zdaje się wyjaśniać. Odesłanie go do komisyi budżetowej oznacza mniejwięcej przyjęcie go. Że fakt ten umocni pozycyę dumy nietylko wobec rządu i narodu, lecz i wobec Europy nie ulega żadnej wątpliwości. Praktyczne skutki umiarkowanej taktyki dumy okazały się już o tyle, że *Stołypin* szykanujący dotychczas kłuciem szpilek poszczególnych posłów i komisye dał za wygraną, przyznając im prawo przyciągania do swych narad fachowych ekspertów i rzeczoznawczych.

Koło polskie opracowało już projekt autonomii *Królestwa*. Niebawem przedłoży go dumie i są dość pewne dane, że duma projekt ów przyjmie. Inna rzecz, a i ciekawsza, jakie stanowisko zajmie wobec niego rząd rosyjski. Tymczasem w kraju, a szczególnie w *Łodzi*, mimo iż lokaut zniesiony, mordy i zabójstwa polityczne na porządku dziennym; wypadki te tem smutniejsze, że walki toczą się o przekonania polityczne. Brat zabija brata, a końca smutnych tych stosunków przewidzieć nie można. Szał rewolweru i brauninga musi sam przejść; ileż on jednak pochłonął i pochłonie jeszcze ofiar.

W *Galicyi* tymczasem *wybory* szybkim zbliżają się krokiem. Odezwa *Rady Narodowej* podziała niewątpliwie w kierunku dodatnim na rozpolitykowane masy; to też przypuszczać można, że zwyciężą na całej linii hasła narodowe.

Ze *Lwowa* nadeszła smutna wiadomość o śmierci prezydenta *Michalskiego*. Dzielny ten człowiek, wyrobiwszy się dzięki swej pracowitości, energii i inteligencyi, od dawnych już lat do najwybitniejszych zaliczał się obywateli Lwowa. Zaufanie miasta powołało go na prezydenta. Na tem stanowisku niepospolite oddał miastu usługi. Umarł nagle, żałowany nietylko przez swoich, lecz i przez obcych.

Przegląd prasy.

Już po zamknięciu naszego ostatniego numeru odebraliśmy od *ks. prob. Mayera z Jeżyc* list, w którym w sprawie insygnii ś. p. Arcybiskupa daje następujące wyjaśnienie:

§ *16 testamentu ś. p. Arcybiskupa* brzmi:

„Krzyż z brylantami i pierścień ze szmaragdem należy spieniężyć przez osobę zaufaną i odpowiedzialną u jubilerów w Berlinie albo w Paryżu. Uzyskane za te przedmioty pieniądze przeznaczam dla kościoła w Jeżycach."

Z jasnego tenoru testamentu zatem wynika:

1) że rodzina dostojnego testatora jest zupełnie niewinna;

2) że egzekutor w sumieniu był zobowiązany wypełnić wolę testatora:

3) że kościół w Jeżycach insygnii tych nigdy nie miał i mieć nie będzie, tylko odbiera pieniądze za nie."

Tyle ks. proboszcz *Mayer*. Wynika z tego bądź co bądź, że rodzina ś. p.

testatora nie ponosi w tym przypadku tej winy, o którą ją posądzano, spada ona na egzekutora ks. *prałata Meszczyńskiego* i jego doradcę ks. *szambelana Łukomskiego z Koźmina*, który jak *„Dzien. Berl.“* donosi, odszukał owego berlińskiego jubilera Fischera mimo iż nawet w Berlinie samym jest znacznniejszy złotnik polski, który obecnie stara się o kupno wymienionych insygnii.

Godzimy się też zupełnie na zdanie *„Dziennika Berl.“*, który pisze:

„Żadną miarą zgodzić się nie można na to, że egzekutor testamentu (ks. kan. *Meszczyński*), był w sumieniu obowiązany wypełnić wolę testatora w *tej formie*, w jakiej ją wypełnił. Były różne sposoby, jak można było spieniężyć insygnia, a jednak je utrzymać w ręku polskim i przekazać je któremu z muzeów narodowych. Czy koniecznie trzeba było dosłownie brać odnośny ustęp testamentu i lokować insygnia w Berlinie i to u jubilera, daleko mniejszego od wielu jubilerów polskich?

Dano mu lekko zarobić parę tysięcy marek, oto jest cały *nasz* zysk z tej sprawy, bo faktem jest, że nawet tę cenę, którą żąda teraz p. Fischer, byłoby się i od Polaków uzyskało. Właśnie stara się teraz pewien polski złotnik tutejszy, który ma większy interes, aniżeli ów uwzględniony przez kanonika Meszczyńskiego Niemiec Fischer, o wykupienie insygniów z rąk jego i gotów jest w danym razie zapłacić mu żądaną teraz przez niego cenę.

Gdyby więc nie ta kolosalna niezaradność miarodawczych osób, byłby kościół św. Floryana w Jeżycach otrzymał *kilka tysięcy marek więcej*. Niemiec nie byłby ich lekko zarobił, skim ręku.“

Pozatem godzimy się z całą prawie prasą polską (prócz *„Dziennika Poznańskiego“*) *że rodzinie* ś. p. Arcybiskupa trzeba uczynić zarzut, że nie przeszkodziła niefortunnej transakcyi i nie postarała się, żeby dostały się w polskie i katolickie ręce. —

W dzisiejszym *„Dzienniku Pozn.“* czytamy elaborat ks. szambelana Łukomskiego pod tytułem *„przestroga“*. Cała ta „przestroga“ to jedna wycieczka przeciw *„Dziennikowi Berl.“* Wydaje nam się, że ks. szambelan Łukomski trafiłby lepiej w treść swego sofistycznego artykuliku, gdyby go nazwał po imieniu *„Wykręcaniem się“*, tem więcej, że kręcąc się — przyparty bądź co bądź przez prasę do muru — nie może zaprzeczyć, że przyczynił się, łagodnie mówiąc, do podrażnienia opinii narodowej.

Innym smutnym wypadkiem jest zaprzepaszczenie *Jakóbkowa i Zajączkowa w Prusach Zachodnich.* Sprzedał je p. *Różycki* żydom. Przewłaszczenie już nastąpiło.

Nie ucichła ta wiadomość, a zaalarmowała nowa całe społeczeństwo. Z poważnej strony odebrał *„Kuryer Poznański“* wiadomość, że *Siedlce*, własność hrabianki *Mielżyńskiej* zagrożone.

Wiadomość to wydawała się na razie nieprawdopodobną, tem więcej, że kupno Drzązgowa zdawało się mówić coś przeciwnego.

Tymczasem coraz głośniejsze odzywają się głosy, że źle jest, tem bardziej, że plenipotentem, cieszącym się nieograniczonem zaufaniem hrabianki jest — znany aż nadto *kolonizator Edmund Chrzanowski* (sprzedał w roku *1899 Ostrowo* w pow. wągrowieckim). Nie mamy powodu mieszania się w osobiste sprawy hrabianki Mielżyńskiej. Powierzenie jednakże głównej administracyi kolonizatorowi nie jest już sprawą *osobistą*, lecz *społeczną*, tem więcej, że kolonizator ten podobno tak administruje majątkami, że, jak już wspomnieliśmy, grozi im kolonizacya.

To też z uznaniem podnieść musimy czyn obywatelski, który przebija z deklaracyi pp. *Marcelego Żółtowskiego, Tadeusza Jackowskiego i Stanisława Łąckiego*, nadesłanej *„Kuryerowi“* i *„Dziennikowi Pozn.“*

Poznań, dnia 12 kwietnia.

Wobec niebezpieczeństwa grożącego majątkom hrabianki *Konstancyi Mielżyńskiej*, spotęgowanej jeszcze przez kupno Drzązgowa nie dające się pod względem finansowym niczem wytłomaczyć, my niżej podpisani upoważnieni przez grono obywateli, udaliśmy się do hrabianki Konstancyi Mielżyńskiej, przedstawiając całą grozę położenia i prosząc, aby nie obdarzała nadal dotychczasowem a bezgranicznem zaufaniem plenipotenta swego, który własną wieś sprzedał był kolonizacyi.

Perswazye i prośby nasze nie odniosły żadnego skutku, gdyż hrabianka Mielżyńska nie zgodziła się nawet na cofnięcie plenipotencyi choćby tylko co do sprzedaży majątków ziemskich.

Wobec tego wina za możliwe następstwa obecnych rządów w dobrach hrabianki Konstancyi Mielżyńskiej spada tylko na właścicielkę, a nie na obywatelstwo wielkopolskie, które przestrzega i ofiarowało gotowość swą do niesienia wszelkiej pomocy.

Zastrzegamy sobie zabranie jeszcze głosu w tej sprawie.

Marceli Żółtowski. Tadeusz Jackowski. Stanisław Łącki.

Godzimy się zupełnie na uwagi „Kurjera“ wobec powyższej deklaracyi.

„Za podjętą akcyę w celu zapobieżenia katastrofie, grożącej Siedlcowi, należy się wszystkim trzem obywatelom szczere uznanie i prawdziwa wdzięczność społeczeństwa. W dziedzinie frymarki ziemią dzieją się u nas obecnie rzeczy tak niesłychane, tak podstępne, obliczone na zaskoczenie opinii, na wywiedzenie jej w pole, że społeczeństwo nie może czekać, aż burza się rozwichrzy i gromy weń walić poczną, lecz *zawczasu* bronić się musi przed klęskami, przed intrygami.“

A dalej:

„Co dotyczy *Siedlca* niema oczywiście zupełnie ścisłych dowodów na to, że majątek ten dziś czy jutro dostanie się w ręce Kolonizacyi. Gdyby takie konkretne dowody istniały, wszelki głos przestrogi byłby już *spóźniony*. A my ponownie podkreślamy, że na prasie spoczywa narodowy obowiązek alarmowania opinii publicznej *zawczasu*.

Stan gospodarczy, finansowy w majątku hrabianki Konstancyi Mielżyńskiej jest tego rodzaju, że ktokolwiek dba o nasz stan posiadania, z prawdziwym lękiem patrzy w przyszłość Siedlca. A tu na dobitek złego hrabianka Mielżyńska nabywa *Drzązgowo*. Racyonalnych motywów gospodarczo-finansowych — jak słusznie zaznacza powyższa deklaracya — nikt w kupnie tym dopatrzeć się nie może. Wszechpotężnym zaś panem sytuacyi, posiadającym generalną plenipotencyę i generalne zaufanie hrabianki, jest — kolonizator.“

Nasuwa się wobec tej sytuacyi, która już jutro stać się może dla nas tragiczną pytanie: *Cóż na to mówi rodzina? Czy ona nie znalazłaby przy dobrej woli aż nadto środków, by hrabiance ukrócić swobodę działania?*

Jeżeli jest faktem, że grają w tej sprawie też animozye rodzinne rolę, to wydaje nam się tem większym rodzinnym być obowiązkiem nie dopuścić, by i niesnaski rodzinne były przyczyną zaprzepaszczenia ziemi polskiej.

Komisja kolonizacyjna

w komisji budżetowej sejmu pruskiego.

Sprawozdawcą w sprawie memoryału o działalności Komisyi kolonizacyjnej był narodowy liberał *Wammhof*.

W ostatnim roku podaż była znacznie mniejszą, niż dawniej, mianowicie większych majątków, natomiast ofiarowano więcej gospodarstw chłopskich, co jest objawem niedobrym. Osadzono w roku ubiegłym więcej chłopów, szczególnie Niemców zagranicznych.

Smutnym objawem jest również, że ceny ziemi znów poszły w górę. Na ogół jest 70 000 hektarów do obsadzenia, a to wystarczy na 1 i pół roku mniej więcej. Dla tego Komisya powinna kupować więcej, aby mieć większy zapas. Sprawozdawca żąda, aby

Komisya zakładała więcej gospodarstw wzorowych, czego obecnie się nie czyni.

Narodowemu liberałowi *Glatzelowi* chodzi o rezultat finansowy osad. Przy niektórych dobrach rząd musiał znacznie dopłacać. Tak wymienia pewny majątek, który kosztował około 200 000 mk., a do gospodarstwa w nim rząd musiał dopłacić około 140 000 mk. Tak samo jest w innych majątkach. Czy te dopłaty były potrzebne?

Minister rolnictwa hr. Arnim odpowiada, że majątki często są w lichym stanie, dla tego trzeba je uporządkować. Kierujemy się tą zasadą, by osadnicy otrzymali gospodarstwa w dobrym stanie i z całem żniwem. To kosztuje wiele pieniędzy.

Pos. hr. Arnim, konserwatysta, ubolewa, że gospodarstw chłopskich coraz więcej sprzedają. Cieszy się, że robotnicy przemysłowi dorobiwszy się, zakupują gospodarstwa. Dalej omawia położenie urzędników Komisyi kolonizacyjnej i żąda dla nich zabezpieczenia bytu.

Pos. hr. Praschma (centrum) przytacza artykul „Schles. Ztg.", który dowodzi, że Komisya kolonizacyjna zrobiła fiasko. Z memoryału wynika, że podaż wielkich majątków się zmniejsza, a gospodarstw chłopskich się powiększa. Polityka ta chybia celu, bo Polacy ziemię wykupują.

Ceny ziemi są bardzo wysokie, rząd je tłumaczy częściowo tem, że grunta te leżą w miastach. A celem działalności komisyi kolonizacyjnej nie jest spekulacya gruntami miejskimi.

Z polskich rąk Komisya kupuje 10,2 proc. Za polskie majątki płacą 1630 mk. za hektar, za niemieckie tylko około 1400 mk. Kilka słów *o protestantyzacyi przez germanizacyę.* Komisya kolonizacyjna rzeczywiście osadza więcej protestantów. Osadzono 11 466 protestantów, a tylko 493 katolików. Z memoryału wynika także, że umyślnie mniej katolików się dopuszcza do osad od protestantów. Dawniejszy minister rolnictwa tłumaczył to tem, że zmarły arcybiskup nie chciał dopuszczać księży niemieckich z innych dyecezyi.

Ale już w r. 1899. *pod parciem biskupów niemieckich zgodził się na to,* by księża niemieccy z innych dyecezyi przybywali do Księstwa. Czemu rząd z tego nie korzystał?

Nie dziwcie się naszemu stanowisku, bo w Grudziądzu i w Głogowie na zebraniu związku protestantów bardzo obszernie dyskutują o protestantyzacyi ziem polskich. Czy prawdą jest, że w *Gnieźnie* ma być zbudowany za pieniądze komisyi kolonizacyjnej wielki kościół ewangelicki?

Minister rolnictwa odpowiada, że rząd nie chce protestantyzować. Zarezerwował pewien areał dla Niemców katolików. Trudno zawsze było o księży niemieckich. W ostatnim czasie jest pod tym względem lepiej. Chłopskie gospodarstwa kupujemy tylko wówczas, gdy jest niebezpieczeństwo, że przejdą w polskie ręce.

Jest też potrzeba, aby w Gnieźnie budować kościół ewangelicki. Taki kościół zbudują i to poza miastem.

Wolnomyślny Peltason użala się na spółki niemieckie w majątkach Komisyi kolon., które szkodzą handlowi i przemysłowi niemieckiemu.

Pos. Kien, konserwatysta, żąda, aby więcej uwzględniano przy osadzaniu chłopów niemieckich z Księstwa pochodzących. Za mało się uwzględnia także potrzeby *religijne* osadników, szczególnie dawno zasiedziałych. Tych trzeba więcej uwzględniać.

Pos. Wentzel, konserwatysta. Oadnictwo jest wzorowem dzielem kultury niemieckiej. Dużo synów niemieckich gospodarzy opuszcza kraj, bo nie mogą nabyć gospodarstw. Miejscowych Niemców przedewszystkiem uwzględniać więcej od obcych. Dalej żąda więcej *dworostw* (restgut). Na nich mają być ci, co są przewodnikami i mogą piastować *urzędy honorowe.* Wykupywanie niemieckich dziedziców powinno się odbywać w sposób ostrożny, bo na tem cierpi cała sprawa niemiecka.

Minister hr. Arnim odpowiada, że niemieccy właściciele wciąż grożą, że sprzedadzą Polakom, dlatego od Niemców trzeba kupować. Co do chłopów niemieckich miejscowych, to ich się najwięcej uwzględnia. Dawniej sejm ganił rząd, że za wiele Niemców miejscowych uwzględnia.

Komisarz rządowy dodaje, że potrzebują jeszcze osadników, którzy osiadają na majątkach prywatnych, nie podlegających Komisyi kolonizacyjnej.

Pos. dr. Skarżyński. Pos. Wammhof kładł nacisk na to, że podaż ziemi się zmniejszyła, obniżenie jest minimalne. Przyczyną zmniejszonej podaży są ostatnie dwa dobre lata. Zapas ziemi Komisyi kolonizacyjnej wynosi *123,000 ha.* (*pół miliona mórg*). Pieniędzy jeszcze też jest dosyć. Pieniędzy jest jeszcze w zapasie około 50 milionów marek. Niemieccy właściciele mają w większych majątkach *3 miliony hektarów,* do tego dochodzą domeny i t. d. Więc *około połowę ziemi* mają już Niemcy. Wobec tego powinni się zadowolić tem, co mają, a pieniądze zostające użyć na utrzymanie tej ziemi. Dalej stwierdza, że w *Gnieźnie* kościół ewangelicki ma być zbudowany w środku miasta, a magistrat dał miejsce.

Minister rolnictwa odpowiada, że *Polacy w ostatnich 10 latach ca. 60 000 ha. więcej kupili od Niemców.* Podobnie się ma rzecz na Śląsku, na Pomorzu i t. d. Co do kościoła w Gnieźnie minister nie jest poinformowany.

Pos. Kindler, wolnomyślny. Parcelacya teraz odbywa się porządkowo i nie ma skarg. Pos. Glatzel już zwracał na to uwagę, że trzeba tyle dopłacać do różnych gospodarstw. Minister starał się to osłabić, ale rzeczą jest pewną, że kapitał Komisyi kolonizacyjnej oprocentowuje się bardzo nisko. Może to polega na tem, że Komisya kolonizacyjna zatrudnia w ostatnim czasie bardzo wielu Niemców, którzy wskutek rozruchów uciekli z Rosyi. Gospodarować oni nie umieją. Partya jego tę politykę osadniczą potępia. Stwierdza też, że wielu Niemców katolików się skarży, że nie mają *księży niemieckich. Polityka kolonizacyjna zaszkodziła niemczyźnie w miastach.* Dalej żąda, aby Komisyi kolonizacyjnej dodano doradców kupieckich. Wreszcie porusza to, że Komisya kolonizacyjna zmusza wszystkich kolonistów, by się ubezpieczali w „Norddeutsche Hagelgesellschaft."

Minister rolnictwa oświadcza, że przy kupowaniu ziemi nie potrzeba kupców, lepiej się do tego nadają rolnicy. Rząd ma w Księstwie 5 właścicieli ziemskich, którzy zakupna ziemi prowadzą. Co do szkodzenia kupcom i przemysłowcom niemieckim, to minister odczytuje cały szereg sprawozdań *magistratów z Księstwa,* z których wynika, że handel niemiecki w miastach się podnosi wskutek działalności Komisyi kolon.

Poseł hr. Arnim, konserwatysta, ma nadzieję, że teraz *po śmierci ks. arcybiskupa łatwiej będzie o księży niemieckich* z innych dyecezyi. Kościół ewangelicki w *Gnieźnie* nie może obrażać uczuć katolickich. Cieszy się, że Niemców z Rosyi biorą na urzędników Kom. kolon.

Poseł Lusensky narodowy liberał: W noweli 1902. wyznaczono 100 milionów marek na kupowanie domen. Rzad tylko nam zdano sprawę z tego funduszu. Teraz nic nam o tem nie donoszą. Co dzieje się z funduszem tym?

Czy w obrachunkach kosztów działalności Komisyi kolonizacyjnej mie-

szczą się także koszta na urządzenie gmin, szkół i kościołów?

Komisarz rządowy: Nie mogę sobie wyobrażać, aby katolicy w Gnieźnie mogli się obrazić zborem protestanckim. Chcę tylko sprostować wiadomość, jakoby zbór ten miał być tak wspaniałym, jak tum katolicki i blisko niego. Urzędnicy z nadbałtyckich prowincyi okazali się tęgimi z wyjątkiem jednego wypadku.

Minister rolnictwa oświadcza że z funduszu 100 milionowego jest jeszcze około 8 milionów marek. Domeny procentują się na 3 i pół proc.

* * *

W uzupełnieniu podajemy dosłowne oświadczenie *ministra rolnictwa Arnima* w sprawie *nowych projektów antypolskich*:

„Srodki Komisyi kolonizacyjnej *są już na wyczerpaniu. Rząd jednakże jest stanowczo zdecydowanym politykę kolonizacyjną prowadzić dalej.* Do tego potrzeba *nie* tylko *uzupełnienia funduszów, ale* także i *dalszych upełnomocnień ustawodawczych.* Ze względu na prawnicze, ekonomiczne i techniczne trudności, *nowej* ustawy kolonizacyjnej *rząd prawdopodobnie w* **tej** *sesyi już* **nie** *przedłoży sejmowi,* chociaż to *zapowiadała mowa tronowa.*"

Na tem skończyły się obrady w komisyi nad sprawozdaniem Komisyi kolonizacyjnej, które zostało przyjęte *15* głosami przeciw *4* głosom.

Sprawozdanie
Szpitala dziecięcego św Jozefa w Poznaniu za r. 1906.

Dawne nasze gorące **życzenie**, żeby obecny budynek szpitalny, nie odpowiadający ani rozmiarami, ani urządzeniem współczesnym potrzebom, zastąpić nowym, udało się w roku ubiegłym urzeczywistnić. Pobudowano nowy dwupiętrowy budynek, któremu tylko jeszcze brak wewnętrznego urządzenia, żeby chorych w nim umieścić. Nowy szpital stanął frontem do ulicy i zajmuje całą przestrzeń, położoną między szpitalem obecnym a domem sąsiednim.

Wszystkie ubikacye będą ogrzewane kaloryferami i oświetlone elektrycznie, we wszystkich pokojach i na korytarzu będą wentylacye, każde piętro będzie miało swoje łazienki i ustępy, a w każdym pokoju dla chorych będą do miednic wodociągi doprowadzały ciepłą i zimną wodę.

Radość jednak z powodu pobudowania nowego szpitala mąci troska o zebranie dostatecznych funduszy. Dotychczasowy fundusz, wynoszący obecnie 57 807,20 mk., nie starczy nawet na pokrycie kosztów samego budynku. Na wyposażenie wewnętrzne, które wobec dzisiejszych wymagań szpitalnych, kosztuje więcej od samego budynku, funduszów jeszcze nie ma. A jednak w połowie drogi stanąć nie możemy, boby to było ze szkodą chorych, dla których dobra wszystkie starania z jak największą ochotą podejmujemy. Troskę naszą umniejsza nadzieja, że jak dotąd, tak i nadal znajdą się tacy, którzy dla nędzy ludzkiej mają litościwe serca i pomocy swej nam nie poskąpią.

W imieniu biednej i chorej dziatwy dziękujemy najserdeczniej wszystkim dotychczasowym dobrodziejom za zasilenie funduszu budowlanego. W gronie tych dobrodziejów znalazły się też sejmiki powiatów rawickiego, wrzesińskiego, żnińskiego i nietomyskiego, które obok subwencyi bieżących na fundusz budowlany razem 650 marek złożyły.

Dochody swoje bieżące zawdzięcza szpital, jak w latach poprzednich, subwencyom sejmu prowincyonalnego, magistratu miasta Poznania, sejmików powiatowych i ofiarom dobrowolnym osób pryawntych.

Lekarze ordynujący w szpitaliku św. Józefa pozostali ci sami. Przybyła nam bardzo wielka i umiejętna pomoc w osobie osiadłego w Poznaniu p. dra *Szulczeewskiego*, który zupełnie bezinteresownie pracuje w poliklinice i na oddziale chorób wewnętrznych.

W roku 1906 wynosiła liczba dzieci leczonych w szpitalu 615, a w poliklinice udzielono pomocy lekarskiej 5604 dzieciom.

Członków liczyło Towarzystwo 21. Dochód kasy Szpitala wynosił 12776,68 mrk., rozchód 12 770,80 mrk., zostało 5,88 mk., deficyt z ubiegłych lat 7261,94 mk., deficyt na rok 1907: 7 256,06 mk.

Czynność lekarska w Szpitalu dziecięcym św. Józefa obejmowała w czasie od 1 listopada 1906 roku do 31 grudnia tegoż roku, ogółem 6219 dzieci, które leczone, opatrywane i utrzymywane były na koszt zakładu, a mianowicie:

1) w klinice remanent wynosił 1 stycznia 1906 roku 50 dzieci: 23 chłopców, 27 dziewcząt; 2) do kliniki przyjęto w ciągu roku 565 dzieci: chłopców 275, dziewcząt 280, które przez 20 491 dni były utrzymywane, pielęgnowane i leczone. Z tych pozostało w zakładzie 31 grudnia 1906 roku 50 dzieci: 16 chłopców, 34 dziewcząt. Umarło w ciągu roku w zakładzie 80 dzieci: 44 chłopców, 36 dziewcząt, z tych 22 dzieci przyniesiono w stanie umierającym; 3) w poliklinice leczono 5604 dzieci: 2812 chłopców, 2792 dziewcząt.

W ubiegłym roku wydano poliklinice 7296 lekarstw, a klinicznym dzieciom 4553. Kąpieli solankowych wydano: 1. W poliklinice: a) dla chłopców 4 536, b) dla dziewcząt 4 840. 2. W klinice 3 135 — razem 12 511.

Kuratoryum Szpit. Dziecięcego św. Józefa.
Ks. prałat dr. Lewicki.
W. Jerzykiewicz. Dr. L. Mizerski, pos.

Ruch w Towarzystwach.

— **Filia samodzielnych siodlarzy.** Na dniu 7-go b. m. założono filię samodzielnych siodlarzy na Poznań i okolicę z współudziałem głównego Zarządu. Zebrania odbywać się będą co 1 i 15 każdego miesiąca o godz. 8-mej wieczorem w lokalu posiedzeń p. Kuczyńskiego w miejscu, ul. Wiktoryi nr. 25. *Zarząd.*

Wiadomości.

***Wybory do sądów kupieckich** w Poznaniu skończyły się kompletną klęską zjednoczonych Niemców i żydów. Zapisanych było ich 940, naszych 450 w liście pryncypałów; głosowało ich 247 naszych 311 i nam przypadło procentualnie 3 sędziów, przeciwnikom tylko 2-óch. Obrani: T. Filipowicz, W. Głębocki i A. Glabisz. Agitacyą z naszej strony kierowali pp. A. Marweg, St. Koźlicki i Karol Rzepecki.

Pomocników zapisanych było w liście Niemców i żydów przeszło 700, Polaków tylko 630 a mimo to oddaliśmy 387 głosów, podczas gdy przeciwnicy zdobyli się tylko na 334 głosy. Blisko 700 niemieckich pryncypałów i 400 pomocników nie stawiło się do urny, to też nie dziw, że poznański organ policyjny (Tageblatt) leje łzy krokodylowe. Tak, tak, jak nie można pędzić urzędników do urny i wywierać nacisku na Polaków, aby głosowali przeciw swemu sumieniu, to zawsze wynik dla Niemców fatalny. Z naszej strony można było co prawda osięgnąć jeszcze lepszy rezultat; bardzo licho głosowały przedmieścia.

* **Informacya dla posłów.** Ktokolwiek posiada materyał dowodzący, że władze wojskowe bojkotują Pola-

ków, lub wywierają nacisk na żołnierzy pod względem zakupów, uczęszczania do polskich lokali, teatrów, na polskie zabawy i t. d. niechaj zechce przesłać nam materyał wiarogodny jak najprędzej, a przysłuży się tem samem naszej wspólnej sprawie. Prosimy o materyał na piśmie.

— *Ktokolwiek* posiada materyał dowodzący, że *władze wojskowe* bojkotują Polaków, lub wywierają nacisk na żołnierzy pod względem zakupów, uczęszczania do polskich lokali, teatrów, na polskie zabawy itd. niechaj zechce przesłać nam materyał wiarogodny *jaknajprędzej*, a przysłuży się tem samem naszej wspólnej sprawie. Prosimy o materyał na *piśmie*.

*** Potrzeba materyału.** Ktokolwiek posiada materyał dowodzący, że domena, czy też komisya kolonizacyjna albo Landbank, czy to pośrednio, czy też bezpośrednio brały udział w podsuwaniu rzekomych kupców Polaków celem nabycia majątków polskich, ten zechce przesłać nam odnośny materyał wiarogodny i to jak najprędzej, a przysłuży się tem samem bardzo ważnej wspólnej sprawie.

Biuro „Straży,“
Dr. Tadeusz Jaworski.

*** O zlot Sokołów w Nowejwsi.** Pamiętnem jest zajście w Nowejwsi, gdzie to na dniu 2-go września z. r. odbyła się prywatna zabawa Sokołów, na którą policya przemocą wtargnęła. Sprawa ta rozegrała się dnia 12-go b. m. przed sądem poznańskim, który uznał, że w Nowejwsi urządzono nieprawne zebranie, które zameldować należało. *Oskarżonymi byli właściciel Nowejwsi p. Niemojewski i kupiec p. Zabłocki z Poznania,* każdy z nich skazany na 50 mk. grzywny.

*** Ks. prob. Piotrowicz** z Gniezna zamierza w przyszły poniedziałek udać się do więzienia, w którym trzy i pół miesiąca za sprawę wiary i polskości cierpieć będzie.

*** Wiec „Straży“** *w Grudziądzu* odbył się dnia 7-go kwietnia przy licznym udziale rodaków. Przewodniczył p. *Całbecki.* O celach „Straży“ przemawiał p. *Goncerzewicz.* W nader ożywionej dyskusyi wyłoniło się ogólne życzenie, by starosta tamtejszy (p. Goncerzewicz) częściej urządzał wiece i starał się popularyzować idee „Straży“. — Po uchwaleniu zasady, że wiece odbywać się mają co kwartał, zamknął przewodniczący wiec hasłem: „Czuj duch“.

*** Walny Wiec** *wyborców Bydgoszczy i okolicy* odbędzie się *w niedzielę 21-go kwietnia r. b.* o godz 12 i pół w południe w lokalu p. Szuprytowskiego, Thalstr.

Porządek dzienny: 1. Zagajenie przez p. Przewodniczącego. 2. Wybór biura. 3. Sprawozdanie komitetu z działalności tegoż oraz z działalności towarzystwa wyborczego przez pana Przewodniczącego. 4. Sprawozdanie kasyera. 5. Krótka przemowa p. dra Warmińskiego o obowiązkach komitetu. 6. Wybór delegatów i nowego komitetu. 7. Wolne wnioski.

Komitet wybor. na miasto Bydgoszcz.

*** Z teatru.** W sobotę dnia 20 b. m. odbędzie się *jubileusz Eleonory Królikowskiej,* artystki sceny poznańskiej ku uczczeniu jej trzydziestopięcioletniej pracy na niwie polskiej sceny. Piękna uroczystość! piękny szereg lat pracy i rzeczywiste zasługi!

Królikowska cały swój talent, całe życie niemal poświęciła na usługi sceny poznańskiej. Tu w 1871 roku rozpoczęła swą artystyczną karyerę i tu niezmiennie pozostawała, pracując z zapałem zawsze mile widziana i oklaskiwana przez poznańską publiczność. Na jubileuszową uroczystość wybrała szanowna Jubilatka *piękny dramat pod tytułem: „Ijola“ L. Żuławskiego,* autora głośnej sztuki Eros i Psyche. Ceny miejsc podwyższone.

W niedzielę po południu o godz. 3-ciej: *Dwór we Władkowicach,* komedya w 4 aktach przez Zygmunta Przybylskiego. Ceny miejsc do połowy zniżone.

*** Procesy prasowe.** Na miesiąc więzienia skazał sąd gnieźnieński dnia 13-go b. m. redaktora „Lecha“ pana *Skworza* za rzekomą obrazę pp. handlarzy koni Kopczyńskiego i urzędnika gazowni Jeżewskiego. Wymienieni czuli się obrażeni tem, że „Lech“ przypomniał, iż p. redaktor Hoffmann został skazany na miesiąc więzienia wskutek wniosku za ukaranie, jaki oni stawili. Wówczas chodziło o iluminacyę. Dalej skazał tenże sąd redaktorów „Lecha“ pp. *Teskę* i *Skworza* za rzekome wzywanie do dalszego uprawiania strejku szkolnego, pierwszego na 2 tygodnie więzienia, a drugiego na 50 mk. kary. Redaktora „Dziennika Poznańskiego“, p. *D. Królikowskiego* skazała izba karna w Poznaniu za rzekome podburzanie do strejku szkolnego na 120 mk. kary.

*** Odezwa!** Gazety śląskie ogłaszają następującą odezwę, podpisaną przez 20 obywateli z ks. prob. Rogowskim na czele: Rodacy! Jak zapewne Wam wiadomo, że podczas niedawno minionych wyborów, nie było można w całym powiecie (ani za 100 mk. na godzinę) uzyskać sali na zebranie, przez co też nasz kandydat a teraźniejszy poseł Wiel. ks. prob. T. Jankowski, nie mógł ani razu do swych wyborców przemówić. Ażeby na przyszłość nie było tak samo, postanowili niżej podpisani zawiązać komitet w celu zbierania dobrowolnych składek na budowę sali w Lublińcu.

Rodacy! gdy każden z was choć mały datek złoży, to salę będziemy mieli w krótkim czasie i będziemy mogli o naszej ciężkiej doli sami radzić. Jak widzieliście, jest nas moc wielka, to też i składek będzie wiele, gdy każdy z nas złoży choćby najmniejszą ofiarę, która nikogo nie zuboży, a przyczyni się do dzieła tak potrzebnego. — Dalej więc w Imię Boże, składajcie wprost do p. Franciszka Willerta w Lublińcu, który złożone składki kwitować będzie w naszych gazetach.

*** Miłośnikom** *pięknych pieśni polskich.* Polecamy gorąco wychodzący od sześciu miesięcy w Poznaniu „Śpiewnik“ polski z nutami. Wydawnictwo to zasługuje zupełnie na poparcie, ponieważ wypełnia zadanie bardzo poważne, rozpowszechniając znajomość nowych ślicznych pieśni polskich i budząc zamiłowanie do śpiewu. Zaletą „Śpiewnika“ jest, iż obok pieśni z oper polskich, aryi, pieśni ludowych, umieszcza także piosenki dla dziatwy polskiej. Wspaniałe są czterogłosowe pieśni południowo-słowiańskie z tekstem polskim, które uzyskały ogólny poklask naszych towarzystw śpiewackich.

„Śpiewnik“ kosztuje tylko markę kwartalnie. Za nadesłaniem marki otrzymuje się przez cały kwartał pod opaską do domu. Adres: *„Śpiewnik“ Poznań, Fryderykowska nr. 9.*

Nasza ofiarność.

Dla biednego gimnazyasty, pilnego i dobrze się uczącego kwartanera, uczęszczającego do jednego z tutejszych gimnazyów potrzebne są 33 marki na *szkolne i książki.*

Rodzice chłopca wskutek choroby i innych nieprzewidzianych wypadków, nie mogą tej sumy wyłożyć, więc udają się na tej drodze za naszem pośrednictwem do miłosierdzia Szanownych Czytelników, by zechcieli w drodze składek złożyć wspomnianą sumę.

Datki na cel powyższy chętnie przyjmować będziemy.

* * *

Na biednego inwalidę Sosińskiego: pani A. Łucka ze Stanisławowa w Galicyi 1 mrk.

Nekrologia.

† Ś. p. *Faustyna z Siwczyńskich Beymowa,* dnia 12-go b. m. w Białężycach pod Wrześnią. R. i. p.

† Ś. p. *Stanisława Doliwa Falkowska,* dnia 14-go b. m. w Poznaniu. R. i. p.

† Ś. p. *Tadeusz Unrug,* dnia 14-go b. m. w Sielcu. R. i. p.

Od Redakcyi.

— *Panu Józefowi N. w M. (G. S.)* — W Warszawie: „Świat“ „Ziarno“, „Besiada literacka“, i we Lwowie: „Nowy kraj“, „Nowy Tygodnik“. Może Szan. Pan zaabonować za pośrednictwem księgarni A. Cybulskiego w Poznaniu, która Szan. Panu na życzenie przyśle dokładny spis wszystkich tygodników illustrowanych polskich.

— *Panu Józefowi Sp. w Altenbochum.* — Numera na okaz wysłaliśmy. W sprawie hasła „Swój do swego“ często piszą wszystkie nasze pisma, nie wyłączając „Pracy,“ zatem korespondencya w tej sprawie byłaby chyba zbyteczną, ale prosimy o korespondencyą treściwą, traktującą o życiu i ruchu tamtejszych Polaków, a chętnie zamieścimy. Za słowa uznania dla „Pracy“ serdecznie dziękujemy i zasyłamy miłe pozdrowienie.

— *Panu F. M. w W.* — Nadesłany wierszyk p. t. „Wiosna“ jest tak stary jak świat i powszechnie znany, więc nie zamieścimy.

Trzej zasłużeni obrońcy języka polskiego na Śląsku.

Największe zasługi dla utrzymania języka polskiego na Śląsku położyli: X. Biskup Bogedain, Paweł Stalmach i Karol Miarka. Oni to są niejako twórcami ruchu narodowego w krainie nadodrzańskiej, który obecnie tak żywem bije tętnem.

X. Bogedain, biskup-sufragan wrocławski, ma tę wielką zasługę, że za jego gorliwem staraniem zatrzymano w górnoślązkich szkołach język polski jako wykładowy. Na każdym kroku mąż ten zacny bronił narodowości polskiej. On się zajął losem X. Damrotha, największego poety śląsko-polskiego, on także zachęcił Miarkę do pielęgnowania języka polskiego. Zakończył życie X. Bogedain w Pszczynie 1861 r., gdzie też pochowany.

Paweł Stalmach ur. 1824 † 1890 położył niespożyte zasługi dla utrzymania języka polskiego na Śląsku austryackim. Gdyby nie jego wytrwała praca, byłby obecnie język czeski panującym w Księstwie Cieszyńskiem. Stalmach wydawał „Gwiazdkę Cieszyńską“ w Cieszynie zakładał Towarzystwa i bronił na każdym kroku narodowości polskiej. Starał się o założenie gimnazyum polskiego w Cieszynie, a chociaż nie doczekał za życia urzeczywistnienia tego przedsięwzięcia, przecież śmiało można twierdzić, że jego mrówczej pracy mamy do zawdzięczenia, że na kresach naszej ojczystej ziemi powstało ognisko oświaty narodowej.

Karol Miarka ur. 1825 † 1882 r., nieustraszony obrońca języka i narodowości polskiej na Śląsku pruskim. Krzepił ducha polskiego pomiędzy rodakami przez pisma, książki, zakładanie towarzystw, teatrów amatorskich i bibliotek. Wydawał w Królewskiej Hucie przez wiele lat „Katolika“, który dotychczas wychodzi w Bytomiu. Napisał też wiele książek. Miarka rozpoczął pierwszy na Śląsku pruskim pracę, aby lud polsko-śląski oświecić politycznie.

Wizerunki trzech tych zasłużonych pracowników na niwie górnośląskiej wydał na pocztówce J. Chociszewski w Gnieźnie. Cena wynosi 5 fen.

Testament bankiera.

Z angielskiego tłumaczył M. P.

(Ciąg dalszy).

— Ryszard Hobson. Miał on być dawniej w Londynie pokątnym doradcą.

— Dziękuję panu.

Vhiteney usiadł, po nim zaś wezwał sekretarza Skotta jako świadka. Harry wstał i zbliżył się do stołu. Wszyscy patrzeli na niego z niekłamanym podziwem — był to bowiem rzeczywiście piękny mężczyzna, wysoki, wysmukły i wytworny. Jego ciemne, wielkie oczy patrzały dumnie i śmiało, twarz wyrażała spokój i powagę, a ruchy, zręczne i niewymuszone, znamionowały człowieka najlepszego salonowego wychowania.

Reporterzy szkicowali z zapałem jego postać.

Harry stał w milczeniu, czekając na pytanie sędziego i mimowolnie spojrzał na panią La Grange, która wpatrywała się w twarz jego tak uporczywie, jak gdyby chciała przemocą zwrócić jego uwagę na siebie. I gdy osiągnęła to, czego pragnęła, przybrały jej oczy wyraz błagalny, łagodny i pokorny, ale spojrzenie Skotta było zimne i pogardliwe. Pani La Grange zrozumiała tę niemą odpowiedź. Szyderczy uśmiech wykrzywił na chwilę jej usta i z taką uwagą śledziła zeznania Harrego, jak gdyby się obawiała, że ją samą o coś oskarży.....

Skott znał charakter nieprzyjaciółki, której w tejże chwili wypowiedział wojnę i wiedział, że trudna będzie z nią walka. Z tem wszystkiem nie dał się przekupić słodkiemi słowami, napisanemi na kartce, jaką mu potajemnie wsunęła w rękę i postanowił nieodwołalnie powiedzieć wszystko to, co sobie z góry nakreślił.

Po ukończeniu wstępnych pytań rzekł sędzia:

— Kiedy i jak otrzymałeś pan wiadomość o śmierci pana Mainwaringa?

— Dziś rano obudziły mnie przeraźliwe krzyki kobiece i biegania po korytarzu, a zaraz potem przyszedł pan Vhiteney i powiedział, co się stało. Poszedłem z nim na miejsce zbrodni i...

— Wczoraj — przerwał sędzia, — byłeś pan nieomal cały dzień i cały wieczór razem z zmarłym, nieprawdaż?

— We dnie tak, wieczorem jednak widziałem go tylko przy stole i potem później jeszcze, mniej więcej z godzinę.

— Podpadło panu u niego coś niezwykłego w zachowaniu się?

— Owszem. Było to zaraz po śniadaniu, po spisaniu testamentu. Pan Mainwaring wydawał mi się roztargnionym, czasem jak gdyby nieprzytomnym. Potem odzyskał znowu spokój.

— Wiedziałeś pan, czemu się tak zmienił?

— Tak, przypisywałem to rozmowie przy śniadaniu, o której już pan Vhiteney wspominał.

— Masz pan na myśli rozmowę tyczącą owego Ryszarda Hobsona?

— Tak jest.

— Myślisz pan, że pomiędzy Ryszardem Hobsonem a panem Mainwaringiem istniały jakieś stosunki? I jakie to stosunki być mogły?

Czarny koronkowy wachlarz pani La Grange poruszał się prędko i nerwowe drganie przebiegło jej twarz. Przytłumiła jednak wnet te objawy wzruszenia i była znów na pozór zupełnie spokojną, gdy Skott odpowiedział:

— Nie wiem, czy w ostatnim czasie łączyły ich jeszcze jakie stosunki, ale to wiem napewno, że przed kilku laty znali się bardzo dobrze.

— Wytłumacz pan tę rzecz jaśniej, — rzekł sędzia ostro, podczas kiedy obecni nie mogli powstrzymać okrzyku zdumienia i niedowierzania. Ale na skinienie sędziego zapanowała zaraz cisza, a Harry mówił dalej spokojnie:

— Zanim się pan Mainwaring przeniósł do Ameryki, był Hobson jego adwokatem w Anglii, i zmuszał go kilkakrotnie do płacenia znacznych sum, grożąc, że w razie nieotrzymania pieniędzy stawi go pod pręgierz opinii publicznej z powodu „wiadomej mu sprawy.“

Po tych słowach głębokie nastąpiło milczenie, wymowniejsze, niż wszelkie okrzyki zdumienia. Harry czuł, że wszyscy patrzą na niego z niezmierną ciekawością, i chociaż on sam patrzał tylko na sędziego, to jednak przeczuwał, jakie wrażenie słowa jego na obecnych wywrzeć musiały.

Niedowierzanie — oburzenie i niechęć — otóż to były uczucia, z jakiemi rodzina zmarłego przyjęła zeznanie sekretarza.

Ale Harry nie zmieszał się ani na chwilę i spojrzał śmiało w oczy sędziego, którego głos brzmiał o wiele ostrzej niż dotychczas, gdy się teraz do niego znowu zwrócił.

— Panie Skott — wymówiłeś ciężkie oskarżenie na człowieka, który się bronić nie może i którego wszyscy uważali za uczciwego i stojącego po nad wszelkiemi zarzutami i podejrzeniami!

— Wiem o tem bardzo dobrze, — odrzekł Harry spokojnie, — ale nie powiedziałem nic, za co bym nie mógł brać odpowiedzialności. Listy prywatne pana Mainwaringa potwierdzą moje słowa. Żądałeś pan, abym wyjaśnił powody zmieszania się pana Mainwaringa na wiadomość o niespodziewanem ukazaniu się tego Hobsona, i dla tego powiedziałem to, na czem się domysły moje opierają.

— Kiedy Hobson żądał po raz ostatni pieniędzy? I otrzymał je?

— Z listów jakie mi się do rąk dostały, dowiedziałem się, że było to mniej więcej przed trzema laty i że Hobson otrzymał wtenczas pięć tysięcy dolarów. Jako pokwitowanie napisał Hobson bezczelny list, w którym mówi, że pieniądze te wystarczą mu wprawdzie na pewien czas i że tak prędko o nowe się nie zgłosi, ale że pan Mainwaring nie ma mieć nadziei wydostania się z jego szponów — bo on, Hobson, wie zawsze bardzo dobrze, gdzie pan Mainwaring przebywa, i że go w przyszłości znowu raz odwiedzi.

— Wiesz pan, jak ten człowiek wygląda?

— Nie, nie widziałem go nigdy.

— Jak wyglądał ów nieznajomy, który wczoraj po południu miał być u pana?

— Był to wytworny, przystojny mężczyzna, średniego wzrostu, blady, z ciemną brodą i ciemnemi włosami. Ubranie jego było trochę zniszczone. Na oczach miał niebieskie okulary.

— Czego chciał?

— Pragnął widzieć pana Mainwaringa, w ważnej sprawie. Z początku okazywał wielką niecierpliwość, ale gdy mu powiedziałem, że pana Mainwaringa nie ma w domu, i że przez następnych kilka dni także go nie będzie mógł prawdopodobnie widzieć, postanowił odłożyć wizytę swoją na stósowniejszy dzień i odczekać wezwania pana Mainwaringa.

— Więc zostawił swój adres?

— Tak, kartę z nazwiskiem J. Henry Carruthers z Londynu, w hotelu Arlington.

— Podpadło panu coś w jego zachowaniu się?

— Nie, dziwiło mnie tylko to, że wiedział dokładnie o spisaniu testamentu i o spadkobiercy pana Mainwaringa, podczas kiedy jego nazwisko było zmarłemu zupełnie obce.

Sędziemu musiało w tej chwili przyjść coś na myśl, bo napisał szybko kilka słów na kartce i wręczył ją adwo-

katowi, który przeczytawszy, kazał ją kamerdynerowi natychmiast zanieść do miasta. Potem pytał sędzia dalej:

— Mówiłeś pan poprzednio, że wczoraj, późno w noc, byłeś raz jeszcze u pana Mainwaringa. Po co poszedłeś do niego i o czem rozmawiałeś z nim?

— Kilka minut przed jedenastą wyszedłem z mego pokoju do parku, aby wypalić cygaro. W sieni spotkałem pana Mainwaringa, idącego do biblioteki i wtedy prosił mnie, abym, zanim się udam na spoczynek, jeszcze na chwilę do niego przyszedł, bo chce mi dać rozmaite dyspozycye na dzień następny.

Pół godziny później wróciłem do pałacu i udałem się zaraz do biblioteki, ale słysząc tam głośną bardzo sprzeczkę, zaczekałem na kurytarzu, aż pan Mainwaring znowu został sam. Rozmowa nasza nie była długa — wydał mi kilka poleceń i pozwolił mi odejść.

— Mówisz pan, że słyszałeś sprzeczkę, musiały tam więc być dwie osoby. Czy głos tej drugiej osoby był ci znanym i mogłeś rozumieć, o czem była mowa?

— Był to głos pani La Grange. Krzyczała ona tak, że musiałem wszystko słyszeć, ale że to, co mówiła, nie było przeznaczonem dla mnie, przeto cofnąłem się na koniec kurytarza i czekałem, aż odejdzie.

— Widziała ona pana?

— W pierwszej chwili zdawało mi się, że nie, ponieważ nie patrząc na mnie, przebiegła niezmiernie wzburzona przez kurytarz, ale gdy potem zapukałem do drzwi biblioteki, spostrzegłem, że obróciła się nagle i widziała mnie wchodzącego.

— Powiedziałeś pan, że pani La Grange krzyczała tak, że dopóki stałeś przy drzwiach, musiałeś słyszeć każde słowo. Musisz zatem wiedzieć, o co chodziło i proszę nam to powiedzieć.

— Pani La Grange oskarżała o coś pana Mainwaringa......... Zarzucała mu, że oszukał haniebnie swego brata, że zaparł się własnego syna i że chce go pozbawić nawet majątku, zapisując wszystko dalekiemu krewnemu.

Spamiętałem dokładnie jej słowa i te były: „To ci się nie uda! Mam cię w moich rękach! Ty i wszyscy twoi dumni, złota chciwi krewni — będziecie wy żałować tego, co dzisiaj było uradzonem!‟

Harry mówił te słowa z nienaturalnym prawie spokojem, ale przeświadczenie, że ma w kieszeni dowody winy swego pryncypała i że zna tajemnicę, o której inni wyobrażenia nie mają, dodawało oczom jego dziwnego, niezwykłego blasku.

W przeciwstawieniu do jego spokoju, opanowała obecnych gorączkowa jakaś ciekawość. Ołówki reporterów migały z błyskawiczną szybkością od chwili, w której zeznawanie świadka stało się tak zajmującem. Twarz Ralfa Mainwaringa była karmazynową z złości, Thornton nawet, zawsze łagodny i wesoły, ledwie mógł panować nad sobą i pan Vhiteney także niezmiernie był zmieszany. Tylko pani La Grange była spokojną. Siedziała z przymrużonemi oczami, lekko uśmiechnięta i słuchała nieporuszona powtarzanie własnych swych słów.

— Czy pan Mainwaring nic na to nie odpowiedział? — zapytał znowu sędzia.

— Tak, ale nie wiem co. Oddaliłem się właśnie od drzwi i słyszałem już tylko jego głos, nie rozumiejąc już słów.

— O której wszedłeś pan do biblioteki?

— Zaraz po dwunastej.

— I wtedy widziałeś pan go po raz ostatni żywego?

— Po raz ostatni.

— Nie wiesz pan, czy później był ktoś u niego?

— Nic o tem nie wiem.

— Podług opowiadania pana musiałeś być u niego godzinę mniej więcej przed jego śmiercią, i dla tego jest niezmiernie ważnem każde słowo rozmowy, jaką z nim miałeś.

— Powtórzę chętnie wszystko, ale nie jest to wiele. Rozmowa nasza trwała nie dłużej jak dziesięć minut. Gdy wszedłem, przechadzał się pan Mainwaring, jak to było jego zwyczajem, po pokoju, z założonemi na plecach rękami i zdawał się być głęboko zamyślonym. Przez spuszczone portyery widziałem słaby blask światła w pokoju wieżowym. Gdy pan Mainwaring mnie ujrzał, usiadł i cichym, zmęczonym głosem polecił mi przejrzeć telegramy, jakich się dziś spodziewał — lecz były to wyłącznie sprawy bankowe. W końcu prosił mnie, abym wziął udział w uroczystościach, jakie się dziś odbyć miały. Podziękowałem mu i odszedłem.

— Nie słyszałeś pan nic nadzwyczajnego, idąc do swego pokoju?

— Wtenczas nie, ale później, około trzeciej — zdawało mi się, że ktoś chodzi ostrożnie podwórzowemi schodami. Mogło to jednak być złudzenie, bo chociaż wytężyłem słuch, nic już nie słyszałem.

— Dziękuję panu chwilowo, jest przecież bardzo możliwem, że wkrótce jeszcze raz pana wezwę jako świadka.

Słowom tym towarzyszyło znaczące spojrzenie skierowane na zarządczynię pałacu i zaraz też dodał sędzia głośno:

— Proszę panią La Grange!

Zgromadzenie na sali podnieśli głowy i patrzeli z zajęciem na piękną kobietę, która z niezrównanym wdziękiem wstała i szła ku stołowi, podczas kiedy Harry wracał na swoje miejsce obok Felicyi Carleton. Młodej dziewczynie nie uszło spojrzenie, jakiem pani La Grange obrzuciła sekretarza i z domyślnością wrodzoną kobietom poznała, że nieprzyjaźń tych dwóch osób doda najwięcej uroku badaniom sądowym. Z większem też niż dotąd zajęciem patrzała na twarz pięknej kobiety.

Ale i reszta zgromadzonych okazywała wielką ciekawość. Kilka osób zbliżyło się nawet do stołu, aby nie stracić jednego słowa z zeznań zarządczyni pałacu, nikt jednak nie przeczuwał odpowiedzi, jaką pani La Grange dała sędziemu na pierwsze jego pytanie.

— Imię i nazwisko pani?

— Eleonora Hongthon Mainwaring!

Przez chwilę zapanowała cisza grobowa, nawet sędzia spojrzał z niezmiernem zdumieniem na panią La Grange.

— Chciej mi pani wyjaśnić stosunek pokrewieństwa z zmarłym — rzekł nareszcie.

— Jestem wdową po nim.

Odpowiedź ta, dana zupełnie spokojnie, wywarła na obecnych nieopisane wrażenie. Jedni patrzeli na nią, jak gdyby nie rozumieli tego, co powiedziała, inni patrzeli nawzajem na siebie, zaczęli szeptać, a Ralf Mainwaring nie mógł się powstrzymać od głośnej klątwy:

— Żeby to wszystko dyabli porwali!

Pani La Grange tymczasem mówiła dalej:

— Wzięliśmy potajemnie ślub w Londynie!

— Czemu potajemnie? I kiedy to było?

Przed 23 latami. Byłam wówczas młodą wdową, a nadzwyczajne okoliczności skłoniły pana Mainwaringa do zatajenia naszego związku. Zgodziłam się na jego żądanie i dlatego wzięliśmy ślub potajemnie.

— Jakie to były powody, dla których pan Mainwaring żądał tajnego ślubu?

— Nie uważam chwilowo za potrzebne wymienienie tychże powodów, dodaję jednak, że wypadki, zaszłe w osta-

tnich miesiącach życia mego pierwszego męża skłoniły mego drugiego do zachowania związku naszego w tajemnicy.

— I te powody istniały przez tyle lat? Bardzo to dziwne! Czy pani nigdy nie żądałaś od męża publicznego ogłoszenia ślubu? Nie pragnęłaś pani zająć należnego ci stanowiska w świecie?

— O, zapewne! Ale mój mąż miał zawsze jakieś wymówki i odkładał tę rzecz od roku do roku. Trzy miesiące po ślubie opuścił mnie nawet potajemnie, aby uniknąć moich próśb, obawiał się może ogłoszeniem ślubu ze mną zniesławić dumne nazwisko Mainwaringów! Przez cztery lata nie wiedziałam, gdzie przebywa, ale w tym czasie dowiedziałam się, że on, który wzbraniał się dać mi należne obok siebie stanowisko, był wobec prawa zwykłym przestępcą. W końcu znalazłam się tutaj. Powiedziałam mu prosto w twarz to, co o nim słyszałam, a on, prawdopodobnie dla okupienia mego milczenia, przysięgał mi, że kocha mnie nad wszystko w świecie, i że wkrótce uzna mnie w obec świata za swoją żonę. Dodał jednak, że zaraz uczynić tego nie może dla tego, że znają go tutaj wszyscy jako nieżonatego. Ale chce przygotować wszystko co potrzeba, aby po upływie pewnego czasu wziąść raz jeszcze ślub ze mną jawnie — wtedy otrzymam nareszcie należne mi stanowisko pani Mainwaring. Byłam nierozsądna wierzyłam mu, dałam się łudzić czułym słowom i przysięgom i czekałam i czekałam. Tymczasem urodził się nasz syn i to znów dało mu powód do odłożenia ślubu. Myślę, że gdybym go nie była miała w moich rękach, gdyby się nie był lękał, że wyjawię światu jego winę, to byłby mnie razem z dzieckiem wyrzucił na ulicę, ale nie śmiał tego uczynić z strachu przedemną. Wymyślił sposób sprowadzenia mnie do Chesnes — kazał mi przywdziać wdowie szaty, i rozgłosił, że jestem jego daleką krewną, która ma zarządzać pałacem.

I tak dla miłości mego dziecka, nie oddałam, jak byłam może powinna, ojca jego w ręce sprawiedliwości, i w nadziei, że syn nasz otrzyma raz przecież prawnie należący mu się majątek, wiodłam podwójne życie — to jest — byłam sługą tam, gdzie miałam być panią!

Pani La Grange umilkła i stała z podniesioną głową, jak królowa.

— Posiadasz pani świadectwo ślubu z panem Mainwaringiem? — zapytał teraz sędzia.

Oczy pięknej kobiety błysnęły nienawiścią i gniewem.

— Niestety, nie! Mój mąż zabrał wszystkie papiery i groził mi kilkakrotnie spaleniem ich. Jeżeli tego nie uczynił, to świadectwo ślubu musi się znaleść w żelaznej szafie. Ale w każdym razie mogę stawić świadka, który był na naszym ślubie i który świadectwo podpisał.

— Kto to jest?

— Ryszard Hobson z Londynu!

Sędzia zapisał sobie to nazwisko w notesie.

— Więc pani znasz Hobsona? — zapytał.

— Naturalnie, był on przez pewien czas adwokatem mego męża!

— Podobno był tu wczoraj. Wiesz pani o tem?

— Tak był u mnie!

— Czy chciał tylko widzieć panią czy też pragnął za pani pośrednictwem widzieć pana Mainwaringa?

— Nie, przyjechał on tylko do mnie, bo miałam z nim pewne sprawy prywatne do załatwienia. Nie wspominał też nic o chęci widzenia mego męża.

— Widywałaś go pani częściej w ostatnich czasach?

— Nie, tylko wczoraj.

— Kiedy pani widziałaś po raz ostatni pana Mainwaringa?

— Wczoraj wieczorem.

— To jest — w nocy. Byłaś pani u niego pomiędzy jedenastą i dwunastą w bibliotece.

Twarz pani La Grange gorącym pokryła się rumieńcem. Gniewało ją ogromnie, że sędzia zawsze mówił „pan Mainwaring", a nigdy „mąż pani".

— Byłam u mego męża, — odpowiedziała z przyciskiem, — mniej więcej z pół godziny!

— Słyszałaś pani, co pan Skott o tem mówił. Powtórzył słowa pani dokładnie?

— Owszem, nie potrzeba wątpić prawdziwości słów pana Skotta. Podziwiam tylko pamięć jego, bo ja doprawdy już nie wiem, co mówiłam.

— Więc co miała znaczyć groźba, że pan Mainwaring i krewni jego pożałują tego, co się wczoraj stało?

— Miało to znaczyć, i mój mąż wiedział bardzo dobrze o co chodzi, że byłabym zaprotestowała przeciw jego testamentowi, i że byłabym go oddała w ręce sprawiedliwości.

— A on co mówił na to?

— Odpowiedział mi jak zwykle szyderstwem, ale nie mógł ukryć strachu.

Chcąc raz już zakończyć sprawę, zrobiłam mu pewną propozycyą i zostawiłam mu pół godziny czasu do namysłu. Gdy przyszłam po odpowiedź, usłyszałam przez drzwi rozmowę — mój mąż nie był sam w bibliotece. I zrozumiałam bardzo dokładnie każde jego słowo, wymówione tonem ostrym i gniewnym. — Jesteś kłamcą i oszustem! — zawołał, na co mu inny, drżący głos odpowiedział: — nie, ty jesteś kłamcą, oszustem i w dodatku złodziejem. Gdyby się twoje haniebne czyny wydały, siedziałbyś dziś albo w więzieniu, albo w osadzie zbrodniarzy w Australii. Potem słyszałam jeszcze tylko świszczące, przytłumione tony, bez słów nie mogłam już rozumieć, pomimo, że stałam tuż przy drzwiach. Ponieważ nie chciało mi się czekać dłużej, wróciłam do mego pokoju.

Ralf Mainwaring ściskał kurczowo rękę Thorntona — obydwaj ledwie śmieli oddychać. Na sali śmiertelna panowała cisza.

— Znałaś pani głos sprzeczającego się z panem Mainwaringiem? — odezwał się po chwili sędzia.

Złośliwy, okrutny nieomal uśmiech przesunął się po ustach pani La Grange. Z widocznem też zadowoleniem odpowiedziała głośno i stanowczo:

— Głos był nieco zmieniony — lecz poznałam go natychmiast — był to głos pana sekretarza Skotta!

Słowa te wywarły na Harrym wrażenie pioruna, Mniej go przeraziło niesłychane oskarżenie pani La Grange niż to, że on sobie w nocy układał w myśli zupełnie te same wyrazy i chciał je rzucić w twarz bankierowi, pokazując mu równocześnie stary, pożółkły dokument. Chciał mu rzeczywiście powiedzieć, że jest kłamcą, oszustem i złodziejem i gdy usłyszał teraz zeznanie pani La Grange, nie wiedział w pierwszej chwili, czy to wszystko było tylko zamiarem, czy też uczynił to istotnie. Dopiero zdumione spojrzenia obecnych wróciły mu przytomność. Ale twarz jego poczerwieniała mocno, i zwolna tylko odzyskał zwykły swój spokój.

— Miałaś pani od wczoraj dużo czasu do namysłu, — zwrócił się sędzia do pani La Grange, — i mogłaś rozważyć sobie dobrze to, co słyszałaś. Czy jesteś i dziś tego zdania, że to był głos pana Skotta?

— Jestem dziś więcej o tem przekonaną niż wczoraj.

— Czemu? Zauważyli to inni także jeszcze?

— Tak, służba!

— Widziałaś pani wychodzącego z biblioteki pana Skotta?

(Ciąg dalszy nastąpi).